NR 32 (1853) 6 SIERPNIA 2024

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Proj. Zygmunt Zaradkiewicz

TYSOL.PL

Najdziksze miejsca w POLSCE

- AMERYKAŃSKA KARUZELA
- JEJ MIESIĄC

ISSN 0208-8045
9 770208 040450 32
INDEKS 379433
CENA 8,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)

eprasa.pl 2b805fee98

#MuremZaPolskim Mundurem

Koszulki

już do kupienia na

www.solidarnosc.sklep.pl

eprasa.pl 2b805fee98

Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

Przez ostatnie dni w świecie mediów mieliśmy do czynienia ze zjawiskiem, które nieczęsto mogliśmy obserwować w poprzednich latach. Ze zjednoczeniem. Fala oburzenia, która wylała się po zawieszeniu Przemysława Babiarza za komentarz do piosenki „Imagine" Johna Lennona wykonywanej podczas otwarcia olimpiady w Paryżu, i to z wielu stron sceny politycznej i z bardzo różnych środowisk, dowodzi, że posunięcie władz TVP nie było tylko kolejnym etapem czystki przedstawicieli „starej ekipy". Był to brak jakiegokolwiek poszanowania dla wolności słowa.

Wiele osób przez ostatnie dni dowodziło, że to był tylko pretekst, że Babiarz ma poglądy, które nie podobają się nowym władzom TVP, że wreszcie skorzystali z okazji. Niestety, coraz wyraźniej widać, że „czysta woda", o której kilka miesięcy temu mówiono w nowym programie informacyjnym publicznej telewizji, też potrafi mydlić oczy.

Nowa władza znów prześcignęła swoich poprzedników o kilometry świetlne w arogancji i łamaniu podstawowych zasad. W tym przypadku wolności słowa.

W ubiegły czwartek Babiarz został przywrócony. Dziwnym trafem dzień po tym, gdy Donald Tusk pogroził palcem w tej sprawie. Przypadek? Śmiem wątpić. Wygląda na to, że odwieszenie dziennikarza to również polityczna decyzja. Jak w takiej sytuacji Polacy mogą ufać w rzetelność i uczciwość TVP? Jak mają uwierzyć, że przestrzega się w Polsce wolności słowa?

Nowa władza znów prześcignęła swoich poprzedników o kilometry świetlne w arogancji i łamaniu podstawowych zasad. W tym przypadku wolności słowa.

Czterdzieści cztery lata po tym, gdy wśród Postulatów Sierpniowych na bramie Stoczni Gdańskiej zawisł i ten o wolności słowa, druku i publikacji, znów mierzymy się z tymi samymi problemami i toporną propagandą, co wówczas.

„Tygodnik Solidarność" był pierwszym po wojnie niezależnym pismem dopuszczonym do kolportażu. Wolność słowa to nie jest dla nas hasło bez znaczenia, bo wiemy, jak wielką walkę o powstanie naszego pisma musiano stoczyć. Dlatego dziś na kolejne posunięcia władz wobec TVP, a także samego kierownictwa telewizji, patrzymy z niedowierzaniem i ze zgrozą. A to zapewne nie koniec. Ale wiemy też, że obecne władze nie rozumieją jeszcze jednej prawdy. Otóż ludzie nie dadzą się na takie sztuczki nabrać. Im grubiej ciosany jest przekaz, tym bardziej odrzuca i skłania do myślenia. Samodzielnego i niezależnego myślenia.

A skoro o przemyśleniach mowa, mam jeszcze jedno, związane ze skandalicznym widowiskiem w Paryżu. Gdybym to ja był na miejscu Babiarza, zdecydowanie częściej nie gryzłbym się w język.

NA DOBRY POCZĄTEK **WASIUKIEWICZ**

eprasa.pl 2b805fee98

06.08.2024
WYDANIE Nr
32

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Najdziksze miejsca w Polsce

8	Dzika turystyka
12	Magia ciemnych nocy
16	Dwa światy kilka kroków stąd. Drogi i bezdroża Mokotowa
20	Na złe kompleksy, na artretyzm, eklektyzm, na miłość, na samotność – Świder!

KRAJ

Emerytury stażowe. Czekamy na merytoryczne prace 24
Pustka Tuska 28
Ile warte są antyukraińskie mity 32

ZAGRANICA

Amerykańska karuzela 36
Politykierzy, a nie urzędnicy: tak wybiera się unijnych komisarzy 40
Wojna o lit, wojna o wszystko 42

ŚWIAT WEDŁUG CHODAKIEWICZA 46

KULTURA

Jestem zwykłą babą. Rozmowa z M. Zgudą 48
Co się mieści w głowie 52

RELIGIA

Jej miesiąc 58

ZWIĄZEK

Co w związku 62
I Warszawski Rajd Rowerowy „Śladami Solidarności” z odznaką PTTK 64

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa

E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com

Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz:
Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Cezary Krysztopa, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy:
Andrzej Berezowski, Łukasz Bobruk, Marcin Darmas, Ewa Górska, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Jan Muś, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Reńca, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich

Łamanie:
Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto:
Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika:
Barbara Sadowska, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl:
Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Monika Rutke, Joanna Sadowska, Adrian Siwek, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
tel. 510 075 689, e-mail:
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: TYSOL Sp. z o.o.
ul. Wały Piastowskie 24, 80-855 Gdańsk
nr konta: Mbank
58 1140 1065 0000 2038 9400 1001

Księgowość: tel. 58 308 42 69

FELIETONY:

OKRASKA 7
GAC 11
PŁUŻAŃSKI 61

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 19
KAWAŁ HISTORII 23
KARUZELA Z BLOGERAMI 27
PRAWO 66
SPORT 68
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 74

eprasa.pl 2b805fee98

Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu” i bieżącej polityki klimatycznej UE

zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

Czy jest Pani/Pan

za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie”

Odpowiedzi "Tak" lub "Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
1	2	3	4	5

eprasa.pl 2b805fee98

PODPISZ WNIOSEK

O REFERENDUM OGÓLNOKRAJOWE W SPRAWIE ZIELONEGO ŁADU

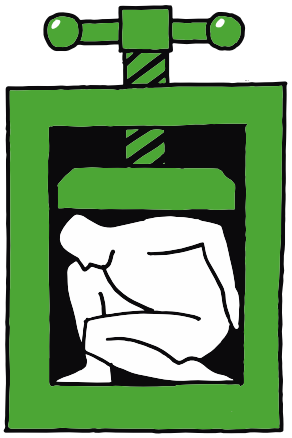

ZATRZYMAJ
ZIELONY ŁAD

PODPISZ, ZANIM ZRUJNUJĄ CI ŻYCIE

www.preczzzielonymladem.pl

NSZZ Solidarność

NSZZ RI Solidarność

eprasa.pl 2b805fee98

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Magdalena Okraska

ZUS to nie piramida finansowa

W Polsce dorastamy, słuchając ze wszystkich stron narzekań na ZUS. Ci, którzy prowadzą jednoosobową działalność gospodarczą i są zobligowani do jego płacenia, jęczą, ile pieniędzy im to co miesiąc „zjada". Nawet pracownicy najemni, za których ZUS płaci pracodawca, potrafią współczuć mu tego obowiązku, a część z nich wierzy w teorie, że gdyby płacić nie musiał, to kwota nieprzeznaczona na ZUS znalazłaby się automatycznie na ich kontach, a nie została u niego. „Jakby ludzie wiedzieli, ile państwo «zabiera», to by się zbuntowali", powiedział mi kiedyś znajomy właściciel warsztatu obróbki skrawaniem.

Właściwie nie słyszy się o ZUS-ie ani jednego dobrego czy neutralnego słowa. Przywykliśmy już do tego, ale i tak ostatnio nieco zaskakująco wypadła wypowiedź minister funduszy i polityki regionalnej Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, która radośnie porównała ZUS do... piramidy finansowej. Abstrahując od faktu, że owa minister ma zupełnie inne pole ekspertyzy, a takie nieprzemyślane wypowiedzi szkodzą interesowi państwa (skoro sama członkini rządu uważa, że ten ZUS to, panie, właściwie niepotrzebny...), warto przyswoić sobie prosty fakt – system ubezpieczeń społecznych to nie jest piramida finansowa. Podważanie zaufania do samego jego istnienia i wydolności – ileż to razy słyszeliśmy, że już na pewno, na pewno za X lat system się zawali, za rok nie wypłaci emerytur itp. – nie służy nikomu z nas. Takie spekulacje to zresztą pokłosie neoliberalnych rozważań, w świetle których ani bezpłatna opieka zdrowotna, ani darmowa edukacja, ani emerytura, ani nawet dach nad głową nie są wcale cywilizowanym standardem, do którego zaistnienia powinniśmy dążyć, lecz tylko przelotną łaską pańską dla wybranych.

ZUS nie jest systemem inwestycyjnym nastawionym na zysk – już to obala pierwszą podwalinę dla istnienia piramidy, bo dzięki ZUS-owi nikt nie bogaci się kosztem innego wpłacającego. Repartycja, podstawa, na jakiej funkcjonuje ZUS, nie ma nic wspólnego z zasadami działania piramid finansowych. System samofinansuje się na zasadzie modelu zdefiniowanej składki, a wypłata rent i emerytur nie jest zagrożona, wbrew obiegowym opiniom. Takie słowa z samych kręgów rządowych wskazują jednak nie na troskę o kształt systemu, a na ogromne niezrozumienie jego funkcjonowania – wręcz niezgodę na to, by ktoś „pracował na kogoś" (bo zakłada się, że system działa właśnie w ten sposób i że obecni emeryci nie wypracowali swoich składek). Dr Sławomir Dudek z Instytutu Finansów Publicznych nazwał wypowiedź minister Pełczyńskiej-Nałęcz wręcz „szurstwem ekonomicznym", czyli wiarą w ekonomiczne teorie spiskowe, wśród których prym wiedzie ulubiona bajka liberałów, czyli „nie ma pieniędzy". To ostre słowa, ale miał rację.

Jak niedawno podał ZUS w raporcie, sytuacja Funduszu Ubezpieczeń Społecznych jest dobra, a wpłynęła na nią stabilna sytuacja na rynku pracy. Jednym z istotnych parametrów, pozwalających na obiektywną ocenę utrzymania zdolności funduszu do wypłaty świadczeń, jest wskaźnik pokrycia wydatków wpływami ze składek i ich pochodnych. Wskaźnik ten w pierwszym kwartale 2024 r. wyniósł 85,5%.

Jak jednak tworzyć spójne państwo z rządzącymi, którzy za docelowy system i trick na wszystkie problemy uważają złotą zasadę „każdy sobie rzepkę skrobie"?

eprasa.pl 2b805fee98

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

Moda na dzikość, to, co pierwotne w naturze, zaczyna być u nas **trendem**. Pożądamy miejsc bez cywilizacji i zasięgu. Oto nasze propozycje takich miejsc.

DZIKA turystyka

Jakub Pacan

eprasa.pl 2b805fee98

Najdziksze miejsca w Polsce? „Leśni ludzie”, ekolodzy, bushcraftowcy, przewodnicy krajoznawstwa toczyliby zapewne dyskusję przy ognisku na biwaku do białego rana, które ostępy leśne,

Fot. T. Gutry

wodne i górskie są w Polsce zadowalające przyrodniczo na tyle, że spełniają wymagania nawet wyrafinowanych koneserów dzikiego życia, a jednocześnie nie są zadeptane przez turystów.

Mateczniki

Z jednej strony mamy miejsca przereklamowane, które jako dzikie funkcjonują już tylko w naszej wyobraźni. Puszcza Białowieska od lat generuje o wiele większe dochody z turystyki niż ze sprzedaży drewna. Każdy żubr został tam tysiące razy sfotografowany przez turystów z całego świata. Tatry, Mazury, Bieszczady też przyjmują tłumy urlopowiczów w sezonie.

W Polsce jest jeszcze ten problem, że mimo 30 proc. zalesienia powierzchni kraju nie mamy większych kompleksów leśnych. Nawet żądni przygód miłośnicy survivalu bez mapy i noża zostawieni w środku dużego lasu najwyżej w dwa dni, idąc prosto, trafiliby na jakieś zabudowania i cywilizację. A mimo to, mimo braku większych zwartych kompleksów leśnych są u nas mateczniki przyrody, których nie znajdziemy w przewodnikach, aplikacji i często nie ma na tych terenach zasięgu w telefonie. To jeszcze miejsca nieodkryte przez masowego turystę nazywanego pieszczotliwie przez koneserów dzikiego życia „stonką”.

Generalnie najdziksze miejsca to te, które są cenne, a jeszcze nie zostały dotknięte dogodną infrastrukturą turystyczną, ułatwiającą dostęp masowemu odbiorcy. Opisane poniżej miejsca są subiektywne, ale za to sprawdzone osobiście, więc możemy z całą odpowiedzialnością zaświadczyć, że to tereny prawdziwie dzikie.

Gonimy Europę

– Ucieczka od cywilizacji, wygód, udogodnień turystycznych w Polsce dopiero zaczyna raczkować. W Wielkiej Brytanii, Niemczech, Czechach to staje się już trendem. W Skandynawii to popularny sposób łapania balansu w życiu. Ludzie o zmroku rozbijają namiot lub śpią pod gołym niebem, a rano się zwijają i idą dalej. W Niemczech odbywa się to trochę nielegalnie. Ale co ciekawe, tam, gdzie nocują prawdziwi miłośnicy dzikich wakacji, nigdy nie znajdziemy śmieci czy zniszczonej przyrody, zawsze po sobie sprzątają. W Polsce dzięki decyzji Lasów Państwowych o wyznaczeniu miejsc do nocnego biwakowania ten sposób spędzania wakacji zyskuje coraz więcej zwolenników – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem Solidarność” przyrodnik i ornitolog prof. Piotr Tryjanowski, który podglądał ptaki już chyba na wszystkich kontynentach.

W Polsce ekspedycje w miejsca bagienne lub penetrowanie dzikich leśnych rzek może i zyskują na popularności, jednak w rozmowie z miłośnikami takich przygód słyszeliśmy kilka razy, że w towarzystwie zwolenników wczasów all inclusive nie zawsze się przyznają, na jaki urlop się wybierają i że cały rok czekali właśnie na to, by wyciągnąć z pawlacza saperkę, namiot i czołówkę.

Prof. Tryjanowski pytany, dlaczego jest fanem i promotorem tej formy obcowania z naturą, odpowiada: „Przebodźcowanie pracą, większość czasu spędzam przed komputerem i jak chcę sobie odpocząć, to szukam miejsca ze słabą infrastrukturę i bez zasięgu w telefonie. Miejsca masowej turystyki mnie odstraszają” – tłumaczy i chyba jest przekonujący, gdyż z powodzeniem udaje mu się namawiać innych profesorów czy biznesmenów na wspólne nocowanie z owcami na hali w górach lub podglądanie ptaków na bagnach.

Dopytywany o swoje najdziksze miejsca zdradza, choć niechętnie, że to kawałek Borów Dolnośląskich na granicy lubuskiego i dolnośląskiego. Tam „najlepiej wybrać się

eprasa.pl 2b805fee98

wzdłuż rzeki Bóbr. Buczyna Łagowska, potężne stare buki z dzięciołami średnimi i muchówką małą. Cóż chcieć więcej? Niedawno odkryłem też dla siebie Bagno Chorzemińskie" – wylicza przyrodnik.

Rzeki, lasy, kajaki

Nasze propozycje to Słupia, Wieprza i Łupawa, najpiękniejsze rzeki Pomorza. Wybierając się na wielodniowy spływ kajakiem, naprawdę można nie spotkać tam ludzi ani stanicy kajakarskiej. W okolicy rzek przyroda często zostawiona jest sama sobie, co sprawia, że powalone drzewa, roślinność, ptaki wodne wyglądają jak z obrazów Józefa Chełmońskiego lub „Puszczy" Artur Grottger. Analogie z Amazonią też mają coś z prawdy. Swoją drogą nieregulowane leśne rzeki to już chyba jedne z niewielu miejsc w Polsce, gdzie natura zostawiona jest sama sobie.

Dziki przegląd

Najrzadziej odwiedzany w Polsce Narwiański Park Narodowy na Podlasiu to ptasi raj dla birdwatcherów. Lasów tu mało, lecz zakola i meandry rzeki Narew to prawdziwy cud przyrody. W większości to nieużytki, stąd rzeka nie była regulowana i wiele podmokłych terenów stwarza tam świetne warunki dla ptaków wodno-błotnych. To królestwo z Polskiej Czerwonej Księgi gatunków zagrożonych.

Godna polecenia jest polska część Orawy. To fascynujący zakątek Polski przenikania się wpływów trzech kultur słowackiej, węgierskiej i polskiej. Warto pojechać i obejrzeć pamiątki tych ziem oraz unikatowe Torfowiska Orawsko-Nowotarskie z typową dla takich miejsc roślinnością, jak np. turzyce.

Puszcza Romincka – w czasach PRL niepokorną młodzież straszono służbą wojskową w Gołdapi, która jest w obszarze puszczy. To ogromny zwarty kompleks leśny o powierzchni 36 tys. ha, z czego 15 tys. ha w Polsce, reszta w obwodzie kaliningradzkim. Faktycznie dla poborowych to lasy, wyjące na nocnej warcie wilki i nuda. Dla przyrodników to miejsce wymarzone: bory sosnowe, łęgi, olsy, wszystko pocięte rzeczkami i ciekami wodnymi, bagnami i rozlewiskami bobrowymi. Tereny trudne i tętniące dzikim życiem.

Godne polecenia są Stawy Milickie. Stworzone ludzką ręką, jako ośrodki hodowli ryb przez cystersów w XIII w. są największym obszarem hodowli karpia w Europie. Dziś w niektórych miejscach nadal funkcjonują łowiska, jednak spora część akwenów zdziczała, stając się rajem dla ryb i ptaków.

Tratwą po parku narodowym

Jeśli potrzebujemy jednak trochę więcej wygód, a zależy nam na bliskości z naturą, to dobrym rozwiązaniem może być spływ tratwą po Biebrzy. Wielość krajobrazów, które zobaczymy w tym czasie, bliskość ryb, ptaków i leśnych zwierząt, które nie boją się ludzi, zapewni nie mniejsze emocje niż spływ kajakiem dzikimi rzekami. Nie jest to może przedsięwzięcie survivalowe, jednak tydzień spędzony w ten sposób na pewno wyrówna nam deficyty natury na rok.

Popularny dziennikarz TV Republika i felietonista portalu Tysol.pl, znany kolegom właśnie z miłości do samotnych wędrówek po terenach odludnych, opowiada o swoich miejscach. – Dzikie miejsca w Polsce to raczej enklawy, jesteśmy średnim krajem z dużym zaludnieniem. To nie Alaska, ani Syberia. Dlatego mówimy o enklawach o średnicy kilku, kilkunastu kilometrów. To niektóre miejsca na Suwalszczyźnie, rzeźba polodowcowa powoduje, że tracimy z oczu miasta i wsie. To Góry Słonne, obszar, który bym porównał do Bieszczad sprzed 40 lat. Praktycznie nie ma tam schronisk, wnętrze gór jest prawie niezamieszkałe, infrastruktura turystyczna bardzo słaba, a szlaki źle oznaczone. Nie jest to obszar bezpieczny, ponieważ stale rośnie tam populacja niedźwiedzia i wilka. Jak tam chodziłem, to spotkani ludzie dziwili się, że nie boję się chodzić po lasach. Faktycznie widziałem tam wilki i świeże ślady misia. Ciekawe enklawy odnalazłem na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. Zdarzyło mi się, że poza sezonem szedłem na południe od Olsztyna wiele godzin od rana do wieczora i nie spotkałem ani jednego człowieka. Tam są też miejsca niebezpieczne ze względu na skałki i skały. Ciszę spotykam też w Drawieńskim Parku Narodowym i wokół niego – mówi redaktor.

Wskazane miejsca na pewno nie wyczerpują bogactw dzikich zakątków Polski. Każdy sam może znaleźć dla siebie ostoję, gdzie nie niepokojony będzie oddawać się rytmowi natury. Lato to doskonały czas na takie poszukiwania.

UCIECZKA OD CYWILIZACJI, WYGÓD, UDOGODNIEŃ TURYSTYCZNYCH W POLSCE DOPIERO ZACZYNA RACZKOWAĆ. W WIELKIEJ BRYTANII, NIEMCZECH, CZECHACH STAJE SIĘ TO JUŻ TRENDEM.

eprasa.pl 2b805fee98

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Olimpijskie szambo

Przed rozpoczęciem XXXIII Letnich Igrzysk Olimpijskich w Paryżu organizatorzy zapowiadali, że będzie o nich mówił cały świat. Nie wiem, czy działano w myśl zasady „nieważne, jak mówią, byleby nie przekręcili nazwiska", ale cel został osiągnięty. Ceremonia otwarcia IO w Paryżu wzbudziła bowiem powszechne oburzenie.

Trudno się dziwić. Organizatorzy zaserwowali nam fragmentami niesmaczne i obrazoburcze show, którego głównym celem była chyba obraza chrześcijan. Mieliśmy więc m.in. transwestytów, pokaz drag queen, parodię „Ostatniej Wieczerzy" i wszelkiej maści perwersje. Zaiste, jeżeli to uznano za warte pokazania całemu światu, to chyba nie powinno dziwić, dlaczego Francja znajduje się w takim momencie, w jakim się znajduje. Wciąż trudno mi jednak zrozumieć, co chcieli osiągnąć takim przekazem organizatorzy. Chyba że chodziło po prostu o kolejne uderzenie w religię i udawanie, że to wcale nie tak. Cóż, tym razem sprzeciw był jednak wyraźniejszy i szerszy niż zazwyczaj, co chyba zaskoczyło MKOl, który opublikował coś w rodzaju „przeprosin".

Z drugiej strony, tak sobie myślę, że dzięki IO w Paryżu chyba ostatecznie upadł starannie pielęgnowany mit jakoby środowiska LGBT+ we wszelkich odmianach były tłamszone i spychane na margines. Nie są już uciszaną kontrkulturą, lecz modą i trendem głównego nurtu, który pokazywany jest na najważniejszych imprezach takich jak Eurowizja czy IO. Oczywiście, wyłącznie dzięki ogromnym pieniądzom korporacji i wsparciu mediów, ale jednak.

Ceremonia otwarcia przyniosła nam wszystkim także inne emocje. Wszystko za sprawą TVP, która postanowiła zawiesić red. Przemysława Babiarza za to, iż ten – nie pierwszy raz zresztą – powiedział o piosence „Imagine" Johna Lennona, że jest wizją komunistyczną. Ten „skandal" dla neo-TVP był nie do przyjęcia, bo przecież otwartość, tolerancja, bla, bla, bla. Lennon, który w „Imagine" śpiewa o świecie bez Boga, państw, narodów i własności, w którym w końcu panuje szczęście, sam przyznał, że jego piosenka jest formą manifestu komunistycznego. Cóż, najwidoczniej szukano pretekstu, by pozbyć się z TVP Przemysława Babiarza. I znaleziono go, choć był on wybitnie głupi.

To, co budujące, to szeroki front wsparcia dla tego wybitnego dziennikarza, który nie przebiegał wzdłuż tradycyjnych linii podziałów, ale wykraczał poza nie. Za Babiarzem wstawiła się więc nie tylko prawica czy kibice, ale również np. Kuba Wojewódzki oraz świat sportu. Zobaczymy, czy neo-TVP wykona krok w tył, czy nie, ale niewątpliwie kolejny już raz pokazała, że „czysta woda" była i jest wyłącznie dla naiwnych. Pytanie, czy kogokolwiek to jeszcze dziwi, czy już niekoniecznie?

eprasa.pl 2b805fee98

Magia ciemnych nocy

Są w Polsce miejsca tak ciemne nocą, że na upartego przy blasku Wenus (najjaśniejszej planety widocznej na naszym niebie) można czytać książki. A robaczki świętojańskie, kiedy już rozświetlą swoje odwłoki, świecą tak mocno, że **aż rażą**. Naprawdę! Jest też wcale niemała grupa turystów, których można tam zawsze spotkać – właśnie ze względu na te ciemności. Dopiero tutaj widać, dlaczego atlas nieba mówi, że gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy składa się ze 125 gwiazd widocznych gołym okiem, a my dostrzegamy zwykle siedem, nazywając je Wielkim Wozem.

Paweł Pietkun

Na warmińskich i mazurskich polanach, bieszczadzkich czy izerskich halach, z daleka od ludzkich siedzib, można się potknąć o leżącego w śpiworze obserwatora meteorów – zwykle amatora. Choć nierzadko można również wleźć na miłośnika dalekiego kosmosu, który swój kupiony za oszczędności teleskop kieruje właśnie na odległą galaktykę. Ma przy sobie kompas i aparat fotograficzny. Nierzadko komputer, którego grafika jest tak ustawiona, żeby nie razić pozostałych. Bo zwykle taka łąka jest pełna ludzi – a wszyscy patrzą w górę.

Coraz trudniej o prawdziwą noc

O zanieczyszczeniu światłem niewiele się nad Wisłą mówi, choć zupełnie niesłusznie. Niebo nad głową co piątego Polaka jest zbyt jasne, żeby można było poczuć, że nastała prawdziwa noc – przekonują naukowcy Light Pollution Think Thank, którzy od lat zajmują się badaniem zanieczyszczenia światłem. To w oczywisty sposób niekorzystnie wpływa na człowieka, który ewolucyjnie okres aktywności wypracował na okres dnia, a wypoczynku w nocy – to także efekt naszego najsilniejszego zmysłu, czyli wzroku. W nocy dajemy oczom odpocząć (bo i tak niewiele zobaczymy), śpimy, uruchamiając cały zestaw biologicznych narzędzi, które pomagają naszym organizmom zregenerować się i wypocząć.

Jednak o prawdziwą noc jest coraz trudniej – to pora doby, której nie doświadczymy w mieście, bo zbyt duża ilość światła, choćby padającego z ulicznych latarni, oszukuje nasze mózgi i co czwartego z nas doprowadza do kłopotów z bezsennością. Niektórzy ratują się środkami nasennymi, ale to proteza prawdziwych potrzeb.

Zanieczyszczenie świetlne degraduje również obraz nieba

Fot. Adobe Stock

O PRAWDZIWĄ NOC JEST CORAZ TRUDNIEJ – ZBYT DUŻA ILOŚĆ SZTUCZNEGO ŚWIATŁA OSZUKUJE NASZE MÓZGI I CO CZWARTEGO Z NAS DOPROWADZA DO KŁOPOTÓW Z BEZSENNOŚCIĄ.

w świadomości społecznej. Nie wierzycie? Sięgnijcie do mitologii Greków, którzy każdego boga i bohatera umieszczali na nieboskłonie, znajdując na nim miejsce dla wszystkich postaci oraz zwierząt im towarzyszących. Jeszcze czterysta lat temu odkrywcy Nowego Świata, kiedy znaleźli się w okolicy równika, zauważali po południowej stronie nieba kolejne, nieznane wcześniej konstelacje. I nadawali im nazwy związane z zachodnią cywilizacją – stąd Cyrkiel, Kompas, Oktant, Okręt i Rufa. O tym, że nazwy powstawały już bliżej epoki nowożytnej, świadczy choćby znajomo brzmiąca nazwa gwiazdozbioru Tarcza Sobieskiego. Dzisiaj zobaczenie gwiazdozbioru w całości graniczy z cudem – jeżeli jesteś choćby nawet w najmniejszym mieście, koniecznie na południu świata.

Prawdę mówiąc, sztucznego światła jest dookoła nas tak dużo, że większość z nas nawet nie wie, co to jest światło popielate Księżyca. A szkoda, bo było natchnieniem dla tysięcy poetów, którzy widząc księżycowy sierp w czasach, kiedy noc była nocą, potrafili dostrzec obok niego resztę księżycowej tarczy skąpanej w słabym, szarym (stąd nazwa) świetle. Światło popielate to odbite od powierzchni naszego naturalnego satelity światło rzucane przez naszą planetę. Jest słabe, więc kiedy je widzimy, dominują odcienie szarości – takie są bowiem prawdziwe barwy powierzchni Luny. Powiedzenie „Srebrny Glob" powstało mocno na wyrost – po to, żeby odróżnić Księżyc od Słońca, wyraźnie złotego. Ze srebrem nasz Księżyc ma niewiele wspólnego. Czasem w zimowe pełnie jest wyraźnie jasny i biały, ale zwykle – przyznajmy to – świeci na żółto, w końcu odbija światło słoneczne.

Magia widoczna bez światła

Sztuczne światła przeszkadzają nam w dostrzeganiu tysięcy pięknych zjawisk. W miastach niełatwo jest zobaczyć obłoki srebrzyste, a szkoda, bo robią ujmujące wrażenie – szczególnie na dzieciach, które są przekonane, że to obłoki „naelektryzowane prądem". Nie ma również mowy o tym, żebyśmy mogli zobaczyć Pas Wenus czy światło zodiakalne. To pierwsze to cień Ziemi rzucany na naszą własną atmosferę o wschodzie lub zachodzie Słońca. Jako że zwykle Słońce barwi nam horyzont na czerwono (lub – to zależy od pogody – różowo), oddano to zjawisko greckiej bogini miłości. Cień naszej planety faktycznie wygląda, jak pas narzucony na biodra. Drugie to światło odbite od pyłu znajdującego się w Układzie Słonecznym, pozostałości po kształtowaniu się naszego kosmicznego domu.

Bez szans jesteśmy w zdarzającym się raz na 11 lat okresie zwiększonej aktywności słonecznej, kiedy na naszej szerokości geograficznej z powodzeniem można obserwować zorze polarne. Tu też warunkiem jest absolutna ciemność, w innym wypadku nie odróżnimy nawet jasnej zorzy od zwykłych chmur. W tym pomoże nam dopiero aparat fotograficzny, który ma czułość na barwy znacznie większą niż ludzkie oko. No chyba że znajdziemy się na jednym z zachowanych polskich biegunów ciemności. Choć jeszcze do niedawna miejsca takie były znane nielicznym miłośnikom gwiazd, a informacje o nich przekazywano sobie szeptem, dzisiaj niektóre urastają do rangi kurortów. Kurortów dla ludzi, którzy potrzebują ciemności i piękna, jakie ze sobą niesie. Niektóre z tych miejsc są wymieniane jako najciemniejsze na kontynencie. Tu noc jest tak ciemna, że gołym okiem można dostrzec galaktykę w Andromedzie – to najbardziej znana z książkowych i internetowych zdjęć galaktyka. Tym bardziej zapiera dech w piersiach, że na niebie jest… kilkukrotnie większa od Księżyca. Jednak ponieważ świeci słabo, to albo jej nie dostrzegamy, albo nie zwracamy na nią uwagi. W końcu to mgiełka w kształcie cygara – żeby się jej przyjrzeć potrzeba naprawdę ciemnego nieba.

NAJCIEMNIEJSZE MIEJSCE W POLSCE TO SOPOTNIA WIELKA, NIEDALEKO GRANICY ZE SŁOWACJĄ, KTÓRA W ZESZŁYM ROKU ZOSTAŁA PIERWSZĄ W POLSCE I 10. W EUROPIE LOKALIZACJĄ O STATUSIE DARK SKY COMMUNITY.

Turystyka ciemności

Dzisiaj kurorty ciemnego nieba stają się coraz bardziej popularną destynacją turystyczną. Najciemniejsze z nich to Sopotnia Wielka, miejsce za Szczyrkiem, niedaleko granicy ze Słowacją, która w zeszłym roku została pierwszą w Polsce i 10. w Europie lokalizacją o statusie Dark Sky Community. Jednak wcale nie jaśniej jest w Bieszczadach czy Górach Izerskich. Ciemne noce to także domena Warmii i Mazur, a szczególnie okolic Pieniężna, gdzie znajduje się piękny klasztor ojców Werbistów. Stąd niedaleko do Fromborka, polskiej mekki astronomów amatorów, którzy jeżeli mogą, ciągną do Parku Astronomicznego na Żurawiej Górze, pół godziny marszu od miasteczka.

W samym Fromborku jest dzisiaj niestety zbyt jasno – oświetlona gotycka katedra i port psują jakiekolwiek astronomiczne plany.

Noc ciemną jak aksamit możemy zobaczyć na Pojezierzu Augustowskim, szczególnie za Sejnami. Tamtejsze polany również nie bez powodu zaludniają się nocami – również jesienią i zimą! Już druga wizyta w tym samym miejscu pozwala spotkać znajomych z innych ciemnych części Polski.

Mieszkańcy najciemniejszych miejsc szybko zauważyli, że to całkiem dynamicznie rozwijająca się gałąź turystyki. Niedaleko miejsc spotkań miłośników nocnego nieba zaczęły powstawać gospodarstwa agroturystyczne, w których można

MIESZKAŃCY NAJCIEMNIEJSZYCH MIEJSC SZYBKO ZAUWAŻYLI, ŻE TO CAŁKIEM DYNAMICZNIE ROZWIJAJĄCA SIĘ GAŁĄŹ TURYSTYKI.

eprasa.pl 2b805fee98

zatrzymać się na dłużej, a nawet infrastruktura dedykowana wszystkim, którzy lubią zadzierać głowę w poszukiwaniu pięknych zjawisk.

Oto w Bieszczadach i Górach Izerskich powstały rezerwaty ciemnego nieba, a w bieszczadzkiej gminie Lutowiska przygotowano dla astronomów amatorów trzy platformy widokowe. Widać z nich, lekko licząc, nawet siedem tysięcy gwiazd i – doskonale – Drogę Mleczną, czyli centrum i jedno z ramion naszej rodzimej galaktyki.

Od lat organizowane są ogólnopolskie imprezy dla miłośników ciemnego nieba i ich rodzin. To odpowiedniki amerykańskich „star party" – od niemal wieku cieszących się coraz większą popularnością imprez dla astronomów zza oceanu.

Polskie „star party" coraz bardziej popularne

Polskie „star party" to imprezy, które – choć mogłyby – wcale ze sobą nie konkurują. Pierwszym z takich wydarzeń była znana w środowisku OZMA, czyli Ogólnopolski Zlot Miłośników Astronomii (ale taką samą nazwę nosił program poszukiwania cywilizacji pozaziemskich opracowany przez Franka Drake'a na początku lat 60. ubiegłego wieku, to również imię książkowej księżniczki Ozmy, władczyni fikcyjnej krainy Oz – nazwa jest grą słów i oczywistym ukłonem w stronę obu).

W czasach rekordowej popularności informację o zlotach podawały wszystkie radiowe i telewizyjne serwisy informacyjne w Polsce – również dlatego że gośćmi na zlotach bywali i sławni astronomowie, i kosmonauci. Spotkania odbywają się w Obserwatorium Astronomicznym w Niedźwiadach, kilkadziesiąt kilometrów od Bydgoszczy. Higiena świetlna gospodarzy każe sądzić, że... nocą tam nie traficie.

Kolejna – Delta Optical AstroShow – znalazła sobie miejsce w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. Uczestnicy zatrzymują się w Hotelu Ostaniec, który – z racji gości i rangi imprezy – rezygnuje ze zbyt wybujałego oświetlenia. Blisko tu z Krakowa, Częstochowy i Katowic, więc również niezmotoryzowani miłośnicy ciemnego nieba nie mają kłopotów z dojazdem. Także tutaj równie łatwo jest zobaczyć najsłabsze gwiazdy widoczne na niebie, co największe gwiazdy polskiej astronomii.

DZISIAJ KURORTY CIEMNEGO NIEBA STAJĄ SIĘ CORAZ BARDZIEJ POPULARNĄ DESTYNACJĄ TURYSTYCZNĄ.

Gwiezdne show

Tegoroczne Low Gravity Show (w tłumaczeniu – pokaz niskiej grawitacji, „star party" organizowane przez magazyn „Astronomia") – nie bez powodu zaczyna się 12 sierpnia. Wtedy następuje zjawisko maksimum roju Perseidów. W pozbawionej świateł nocy w Parku Krajobrazowym Orlich Gniazd w Beskidzie Żywieckim można zrozumieć, dlaczego o Perseidach mówi się, że są deszczem meteorów. W ciągu jednej godziny można zaobserwować ponad setkę spadających gwiazd. Przy zanieczyszczonym sztucznym światłem niebie nie widzielibyśmy nawet dziesiątej części tych zjawisk. Hotel Fajkier w malowniczej wiosce Lgota Murowana, w którym zatrzymują się uczestnicy, również przestrzega określonych zasad – nie świeci w ciemności. Organizatorzy zapraszają chętnie rodziny z dziećmi – dla najmłodszych organizowane są specjalne warsztaty. I niezależnie od nich obserwacje Słońca, dzięki którym na własne oczy można zobaczyć słoneczne plamy. A w tym roku jest ich wyjątkowo dużo. To m.in. dzięki nim nocami coraz częściej możemy oglądać zorze polarne.

12 SIERPNIA NASTĘPUJE ZJAWISKO MAKSIMUM ROJU PERSEIDÓW. W POZBAWIONEJ ŚWIATEŁ NOCY W PARKU KRAJOBRAZOWYM ORLICH GNIAZD W BESKIDZIE ŻYWIECKIM MOŻNA ZROZUMIEĆ, DLACZEGO O PERSEIDACH MÓWI SIĘ, ŻE SĄ DESZCZEM METEORÓW.

eprasa.pl 2b805fee98

DWA ŚWIATY KILKA KROKÓW STĄD

Drogi i bezdroża Mokotowa

Zapraszam w podroż po dwóch **bardzo różniących się** od siebie światach, które łączy przynależność do dawnych granic warszawskiego Mokotowa. Służewiec zmienia się tak szybko, że gdy zgłaszałem redakcji ten tekst, stały w nim jeszcze budynki, których nie znalazłem, kilka dni później przystępując do pisania. Skarpie Ursynowskiej, pod którą odpoczniemy po tym szaleństwie, to – mam nadzieję – nie grozi.

Krzysztof Karnkowski

Fot. autor

Służewiec za czasów PRL nazywany był „Przemysłowym", co zresztą po latach bardzo mocno kłuło w uszy młode białe kołnierzyki chcące, by nazywać go teraz „Biznesowym". W miejskim żargonie stał się „Mordorem", by jednak i tę nazwę tracić stopniowo na rzecz przejmującej jego rolę bliskiej Woli. Transformacja wykończyła tutejsze zakłady, w efekcie czego spauperyzowały się pobliskie osiedla. Piszący przewodniki po Mokotowie Michał Szymański niektóre z blokowisk Służewca porównał nawet do wsi popegerowskich.

TRANSFORMACJA WYKOŃCZYŁA TUTEJSZE ZAKŁADY, W EFEKCIE CZEGO SPAUPERYZOWAŁY SIĘ POBLISKIE OSIEDLA.

Ani przemysłowy...

Likwidacji było tu bardzo dużo, a przecież mieściły się tu państwowe firmy z wielu branż. Powołany w 1951 roku do życia na terenie tej dzielnicy i sąsiedniego Zbarża Służewiecki Okręg Przemysłowo-Składowy miał dać pracę w 60 zakładach, z zapleczem mieszkaniowym w postaci osiedla na 26 tysięcy mieszkań. Dziś ślady tej historii praktycznie zanikły. Gdy przejść się ul. Marynarską od strony ronda Unii Europejskiej w kierunku Dworca Warszawa-Służewiec (dla tej opowieści bardziej interesująca jest jej północna strona), mija się kolejne kompleksy biurowe zajmujące tereny po dawnych zakładach. Poza numerami kilku linii tramwajowych kończących przy dworcu swój bieg, 17, 18 i 31, i ostatnim broniącym się przed rozbiórką budynkiem z adresem Marynarska 14 pamiętający dawne czasy nie znajdą żadnego punktu zaczepienia. Nie ma zakładów, w których do lat 90. produkowano Mazowszankę (Marynarska 12, dziś są tam biura T-Mobile). Również po drugiej stronie ulicy nowoczesne biurowce zajęły teren wyburzonych ostatecznie 10 lat temu Zakładów Mięsnych Służewiec mieszczących się niegdyś pod adresem Taśmowa 10/12. Ślady przeszłości dzielnicy znaleźć można też jeszcze, ruszając na wyprawę wzdłuż torów w kierunku południowym. Gdy przygotowywałem się do pisania tego tekstu, zorientowałem się, że niemożliwy jest już spacer do niedawna piaszczystym odcinkiem

eprasa.pl 2b805fee98

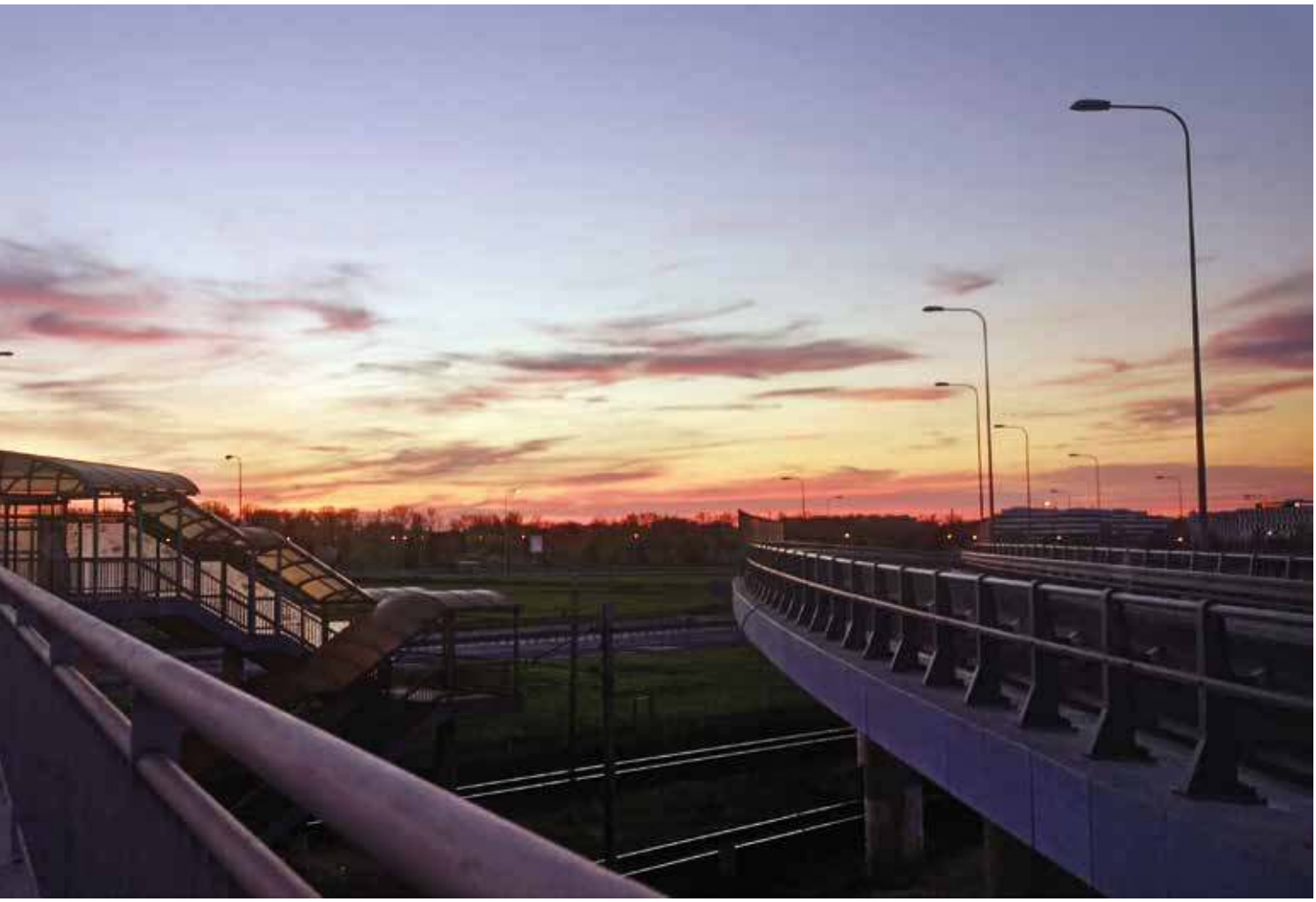

lokalnej drogi między ulicami Marynarską i Cybernetyki. Tam, gdzie jeszcze rok temu można było nazbierać mnóstwo pysznych jeżyn i jabłek, rozpoczęła się właśnie budowa przedłużenia ul. Suwak. Jeśli jednak ominąć tę przeszkodę i pójść dalej (na przykład od drugiej strony torów, ul. Wirażową, a później wiaduktem nad torami w ciągu ul. Cybernetyki), w stronę Dworca Warszawa-Okęcie, trafić można w dziki świat zarośniętych, zapomnianych kolejowych bocznic donikąd, kiedyś – do kolejnych chlub dzielnicy, której świetlane perspektywy znaczyły nowoczesne nazwy ulic odwołujące się do przemysłowych taśm, maszyn, badań rozwojowych i komputerów. Tu warto dodać, że z wiaduktów na Marynarskiej i Cybernetyki przy odrobinie szczęścia lub planowania można obejrzeć naprawdę piękne zachody słońca, pięknie kładące swoje barwy na infrastrukturę kolejową i rozjazdy równoległej do niej drogi szybkiego ruchu, za którymi zobaczymy jeszcze szeroką panoramę miasta.

...ani biznesowy

Poza wspomnianymi już zakładami największymi przedsiębiorstwami były: Fabryka Półprzewodników „Tewa", Zakłady Urządzeń Dźwigowych, Fabryka Podzespołów Radiowych „Elwa", Zakłady Ceramiki Radiowej i Stołeczne Zakłady Wyrobów Skórzanych Przemysłu Terenowego „Argo". Niektóre z nich mieściły się w lokalizacjach, które przeżywają już kolejną transformację. Jeśli naszą wędrówkę zaczęlibyśmy bliżej centrum, wysiadając z tramwaju już na przystanku Konstruktorska, być może inne widoki zobaczylibyśmy w każdym kolejnym tygodniu, i to niezależnie od zmian pór roku. W ciągu ostatnich miesięcy będące nie tak dawno chlubą dzielnicy nowoczesne biurowce, które obsiadły ul. Wołoską, zamieniły się w potężne sterty gruzu. Teraz w miejsce biur pojawić się ma tutaj zabudowa mieszkaniowa i trochę więcej zieleni. Zniknął między innymi „Mars", wybudowany właśnie na miejscu „Tewy" (Wołoska 5, wcześniej – Komarowa 5), nie ma też już budynku Curtis Plaza, kiedyś ważnego punktu, od którego nawet przez lata swoją nazwę brał przystanek tramwajowy, dziś nazwany już po prostu „Domaniewska". Teren po „Marsie" i „Tewie" zajmie

eprasa.pl 2b805fee98

osiedle „Modern Mokotów", wybudowana ma być też nowa szkoła podstawowa. Pod ziemię zejdzie nawet spora część biegnącej wzdłuż tego szlaku linii wysokiego napięcia, kolejny charakterystyczny element tej okolicy. Wszystko to pokazuje nam, że najpewniejsze rzeczy w okolicy to tramwaj i kolej, wokół których codziennie jak w kalejdoskopie zmienia się krajobraz. Transformacja trwa, burzy fabryki i biurowce, zrywa linie wysokiego napięcia i przerzuca masy ludzkie z miejsca na miejsce.

Skarpa mało znana

Aby zupełnie nie poddać się tej fali, w zanadrzu mam drugą propozycję. O niesamowitych, cichych i spokojnych miejscach często nie wiemy, mając je tuż pod nosem, i tak jest, jak myślę, w tym właśnie przypadku. Tę drogę zaczniemy od znanego i na ogół zatłoczonego parku otaczającego pałacyk Królikarnia, jednak nim akurat nie będziemy się zbytnio zajmować. Kto chce, może oczywiście poświęcić trochę uwagi rozrzuconym po parku rzeźbom, z których każda jest dość dokładnie opisana na stosownej tabliczce, jednak tym razem szukać będziemy raczej zieleni i wytchnienia. Idąc dużą aleją, prowadzącą od parkowego wejścia od strony Puławskiej w dół, możemy od razu zejść na dół lub zahaczyć jeszcze o ul. Zawrat, na której tyłach mieści się między innymi budynek MSW. Toczyła się w nim część rozmów, których całość historia oddała podwarszawskiej Magdalence. Jeszcze trochę dalej jest ambasada USA, a nawet dawna willa Jaruzelskiego, w której jednak już nic ciekawego raczej się nie dzieje. Schodzimy więc na dół i skręcamy w malowniczą ul. Płyćwiańską, która poprowadzi nas pod terenem nieistniejącej już skoczni narciarskiej, następnie zaś Jaśminową, będącą właściwie polną drogą (dlatego odradzam łażenie po niej, jeśli w ciągu poprzedniego tygodnia lało). Idąc wśród wciąż bujnej przyrody, zobaczymy, jak w piękne tereny, w łąki i pola pod mokotowską częścią skarpy wgryza się nowa deweloperka. Tu też przenikają się światy, za chwilę znajdziemy się w kawałku dawnej wsi Szopy Polskie, która zachowała swój charakter. Niskie budynki, błoto, gołębie i kury – wszystko 10 minut od metra Wilanowska (komu mało, może jeszcze na chwilę skręcić w ul. Bocheńską, będącą czymś w rodzaju podrzędnej i mocno dysfunkcyjnej wiejskiej drogi). Jeszcze niedawno w okolicy był nawet uroczy, choć zrujnowany, parterowy pałacyk należący do rodziny Pyzlów (Jaśminowa 5), niestety w imię jakiegoś barbarzyństwa zastąpiony dwoma ceglanymi klockami.

NISKIE BUDYNKI, BŁOTO, GOŁĘBIE I KURY – WSZYSTKO 10 MINUT OD METRA WILANOWSKA.

Orzeźwiający mikroklimat

Tą drogą wyjdziemy na al. Wilanowską, by za skrzyżowaniem z Dolinką Służewiecką odnaleźć Potok Służewiecki, który zaczyna się przy dawnej kuźni. Mieści się w niej dzisiaj Muzeum Kowalstwa. Dalsza część spaceru nie będzie już obfitować w spektakularne atrakcje, będzie za to potężną dawką widoków, których nie powstydziłby się niejeden kalendarz ze zdjęciami półdzikiej przyrody. Wzdłuż kanału, przy odrobinie szczęścia wraz z kaczkami, dotrzemy do ul. Arbuzowej, która (jeśli skręcimy w prawo) doprowadzi nas do dalszego ciągu potoku, biegnącego pod malowniczą skarpą ursynowską. Ten fragment Warszawy to Błonia Wilanowskie, zielona przestrzeń dająca wytchnienie, odwiedzana chyba tylko przez mieszkańców pobliskich osiedli. Idąc wzdłuż wody, poczujemy w płucach, że weszliśmy w specyficzny mikroklimat wilgotnego, a zarazem bardzo odświeżającego powietrza. Wkrótce do naszego szlaku przybliży się wybetonowana droga (trakt ul. Rzodkiewki, w dalszym biegu – Orszady), której trzymamy się, by nie musieć skakać przez wodę. Towarzyszyć nam będzie linia wysokiego napięcia, zresztą ta sama, co na Wołoskiej, jednak gdy druty odejdą w stronę Ursynowa, my zostaniemy na szlaku. Każdy kolejny most da nam piękny widok, tych zresztą nie będzie brakować aż do końca. Po lewej naszym oczom ukaże się oddalona trochę Świątynia Opatrzności Bożej, po prawej – wznosząca się na skarpie parafia św. Edmunda Bojanowskiego, przez której witraże prześwieca czasem zachodzące słońce. Mało atrakcji? Kto się tamtędy przejdzie, nie będzie raczej narzekał. Po wszystkim trzeba się tylko jakoś wydostać na ul. Branickiego, w tym miejscu wpadającą w południowa obwodnicę Warszawy. Nie jest to proste, nie jest to dobrze pomyślane, trzeba wprosić się na, szczęśliwie nieuczęszczaną zbytnio, ścieżkę rowerową i kierując się w lewo, dotrzeć do przystanku, skąd każdy autobus zawiezie nas do metra. Podobne miejsca i historie kryje prawie każda okolica. Nie każdy jednak ma czas na szukanie, odkrywanie i zastanawianie się nad tym, co znajduje się za następnym rogiem, za zakrętem linii tramwajowej. Czasem naprawdę warto pójść krok dalej.

eprasa.pl 2b805fee98

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Babiarz w pióropuszu, telewizja w panice

Jan Wróbel

Dobre 10 lat temu Edyta Górniak znalazła się w ogniu krytyki za strój Indianina. Jak mówi się we współczesnej jakby polszczyźnie: w sieci zawrzało. Górniak w pióropuszu miała dokonać poważnej, bo kulturowej kradzieży, skoro sama nie jest rdzenną Amerykanką. Merytorycznie spór, jak to często bywa, kiedy do głosu dochodzi infantylna lewica internetowa, był niestety parodią sporów o idee. Nacierająca z dumą i wiarą strona postępowa kserowała argumentację z Ameryki Północnej, która do polskiej rzeczywistości miała się nijak. Kiedy dzieci z polskich bogatych domów poprzebierają się za zaniedbaną młodzież z Bronxu, to też dokonują zamachu na kulturę amerykańskich blokowisk? Karnawałowi przebierańcy w sutannach kradną tożsamość katolicką? Kiedy w „The Voice of Kids" kilka lat po Górniak uczestnik wystąpił z pióropuszem, też zawrzało.

Wiem, lewica nie ma monopolu na płytkie histerie, którymi z takim znawstwem opiekuje się internet; kto starszy, ten pamięta, jak wpływowa kiedyś prasa mocno liberalna częstowała licznymi przykładami właśnie z USA. A to podatki federalne, a to polityka afirmacyjna, a to (amerykańskie) związki zawodowe, a to „reaganomics"... Cechą przekazu promującej kapitalizm prasy było to, że kiedy rozpadał się komunizm, a w jego miejsce wchodziło nie bardzo wiadomo, co, więcej można było przeczytać o zbawiennych rezultatach niwelowania podatków na Wyspach Dziewiczych niż reportaży z przeżywających trzęsienie ziemi polskich zakładów pracy. Nic dziwnego – o akcji afirmatywnej w New Jersey albo o Wyspach Dziewiczych można było poczytać w amerykańskiej prasie i za niewielkie pieniądze mieć tak zwany wypełniacz (dzisiaj zwany profesjonalnie „kontentem"). Materiał o transformacji w Mielcu, zwłaszcza gdyby miał mieć sens, swoje kosztował.

Dzisiaj żyjemy w epoce zalewu kontentu – i dalej polska rzeczywistość zazwyczaj marnie jest znana uczestnikom bitew „o wszystko". To, co znają (nie obrażając wyjątków!), to okołorzeczywistość zlepiona ze sterowanych algorytmem krótkich komunikatów internetu oraz oferty „mediów tożsamościowych". To ostatnie określenie zawsze staram się uświetniać żabkami cudzysłowu. Nie dlatego, abym uważał, że media bez własnego światopoglądu są jakoś z zasady lepsze od tych, które prezentują go jak broń na defiladzie. Po prostu w praktyce tych mediów oburzenie serwuje się zamiast, a nie po wiarygodnej informacji. Było jakąś zbrodnią na polskiej kulturze, że nasze media publiczne po 2015 roku pocwałowały tą drogą nawiedzonego prostactwa. Za to w 2024 roku mamy „aferę Babiarza". Jej istotą nie jest kilka kontrowersyjnych słów, bo komentatorzy, którzy nie mają kontrowersyjnych wypowiedzi, powinni rozdawać cukierki, a nie pracować w mediach. Istotą jest fakt, że internetowa piana zastraszyła kierownictwo jakoś tam poważnego medium. Jaką siłę oporu wobec wszelkich nacisków ma kierownictwo telewizji, które piszczy ze strachu na widok internetowego bulgotu? Poprzedni szefowie TVP i Polskiego Radia dawali nam do skosztowania zatrute jabłko – obecni sami je połykają.

> JAKĄ SIŁĘ OPORU WOBEC WSZELKICH NACISKÓW MA KIEROWNICTWO TELEWIZJI, KTÓRE PISZCZY ZE STRACHU NA WIDOK INTERNETOWEGO BULGOTU?

eprasa.pl 2b805fee98

„Na złe kompleksy, na artretyzm, eklektyzm, na miłość, na samotność – Świder!”*

Choć minęły już czasy, w których w sezonie letników nad Świdrem było **kilkukrotnie więcej** niż stałych mieszkańców Otwocka i okolic, do dziś dawne nadświdrzańskie letniska cieszą się popularnością. Okolice tej rzeki to jedno z najpopularniejszych miejsc na weekendowy wypoczynek w bliskiej odległości Warszawy, które jednocześnie zachowało wciąż swój naturalny charakter i urok.

Barbara Michałowska

Pierwsza była kolej. W 1877 roku wybudowano linię z Warszawy do Lublina (w 1912 roku powstała wzdłuż niej linia kolejki wąskotorowej). Trzy lata później nad Świder przybył Michał Elwiro Andriolli, wybitny rysownik, malarz i ilustrator, autor niezapomnianych ilustracji do „Pana Tadeusza”.

„Prócz lasu, rzeki i nieba nic tu więcej nie znajdziesz”

„Prócz lasu, rzeki i nieba nic tu więcej nie znajdziesz, jednej chaty, jednego ludzkiego schroniska nie dostrzeżesz, wokoło natura, nigdzie śladów człowieka, i gdyby nie ów świst lokomotywy, który ci przypomina, że są jakieś koleje i maszyny do jeżdżenia, zdawałoby się, że jesteś wśród puszczy setkami mil od wielkiego miasta oddzielonej” – relacjonował malarz przyjacielowi Henrykowi Dobrzyckiemu.

Andriolli wykupił 200 hektarów ziemi po obu stronach Świdra i przeniósł tam z Warszawy cztery charakterystycznie zdobione drewniane domy. To był początek unikalnego stylu architektonicznego, który niemal pięćdziesiąt lat później dzięki poematowi dla „Teatrzyku Zielona Gęś” Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego został spopularyzowany jako styl „świdermajer”.

Andriolli zresztą sam projektował letniska o charakterystycznych bryłach i wycinanych w drewnie ornamentach. Kolonia przez niego stworzona dała początek letnisku Świder, które dziś jest częścią Otwocka.

– Andriolli zawsze marzył o takim miejscu, a że był artystą grafi-

Stary mały most nad rzeką Świder w Otwocku

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 2b805fee98

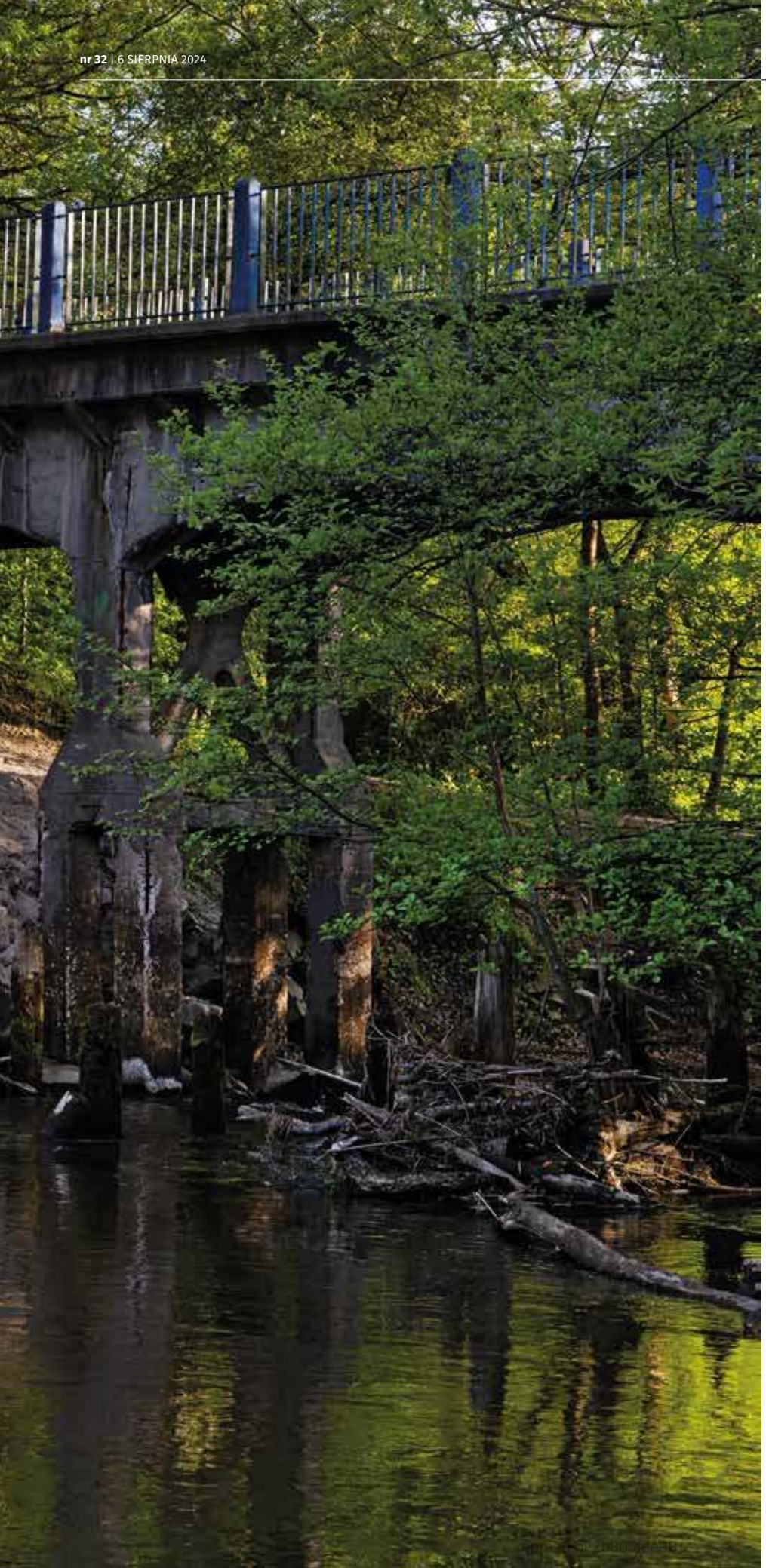

kiem i osobą wrażliwą, to przeniósł zaobserwowane w Tyrolu i Rosji style architektoniczne na lokalny grunt. Sam projektował bogate ozdoby domów. Później wszyscy inni kopiowali jego rozwiązania, a trochę poddawali się modzie. Koniec XIX wieku to w Europie moda na drewniane budownictwo – mówił kilka lat temu lokalny historyk Paweł Ajdacki na antenie Polskiego Radia.

„Lasy na podłożu gruntów piaszczystych [...] oraz liczne plaże rzeczne”

„[...] przez Świder płynie szeroko rozlewająca się, o podłożu piaszczystym rzeka tej samej nazwy. Dzięki znaczniejszemu nasyceniu okolicy wilgocią do Świdra nie są kierowani chorzy dróg oddechowych i płuc [sanatoria dla tychże powstawały od końca XIX wieku w bardziej oddalonych od Świdra częściach Otwocka – przyp. B.M.). Natomiast zalecany jest pobyt chorym sercowo, na zaburzenia krążenia (nadciśnienie krwi, dusznica bolesna, wady serca, miażdżyca), poza tym dzieciom – wątłym, nerwowym, ze schorzeniami gardła i nosa (chroniczne nieżyty, wyrośla, powiększone migdały itp.), w ogóle zaś – rekonwalescentom i nerwowo chorym, potrzebującym wypoczynku” – pisano w 1938 roku w „Informatorze Uzdrowisk, Letnisk i Osiedli Podstołecznych pn. Lato pod Warszawą”. Przekonywano, że Świder ma wiele uroków, „głównym jednak są jego lasy na podłożu gruntów piaszczystych, łatwo przepuszczalnych, oraz liczne plaże rzeczne ocienione drzewami iglastymi i liściastymi. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni pełno jest w nim nie tylko stałych letników, lecz także gości przyjeżdżających chociaż na krótko” – pisano.

Sama rzeka stanowiąca jedną z największych atrakcji tej okolicy (jedna z trzech, obok Mieni

oraz Wisły wraz z tzw. deltą Świdra oferujących już od międzywojnia rozmaite wodne atrakcje) była opisywana jako czysta i płytka, z piaszczystym dnem, a niekiedy także piaszczystymi brzegami. Rzeka do dziś tworzy łachy i płynie po lesie licznymi zakolami. Niekiedy spotyka się głębsze miejsca, ale w zasadzie, szczególnie w tej okolicy, nadaje się bardziej do zabaw wodnych niż pływania. Do dziś za to modne są spacery korytem Świdra – również pokonanie go wszerz nie stanowi żadnego problemu.

> ***Gdyby nie ów świst lokomotywy, który ci przypomina, że są jakieś koleje i maszyny do jeżdżenia, zdawałoby się, że jesteś wśród puszczy setkami mil od wielkiego miasta oddzielonej.***
>
> **MICHAŁ ELWIRO ANDRIOLLI**

Letnisko

W latach dwudziestych cała linia otwocka szybko zaczęła być znana z uroków letniego wypoczynku. Od 1924 roku letniska były skupione w Gminę Letnisko Falenica. „Na obraz i renomę poszczególnych letnisk składało się wiele elementów. Jakość świadczonych w pensjonatach usług, zaplecze gospodarcze czy dostępność rozrywek decydowały o wyborze tego czy innego miejsca na rodzinny wyjazd. Dla rodziców wysyłających na wakacje swoje dzieci ważna była przede wszystkim jakość opieki oraz program zajęć dla milusińskich. Linia otwocka, zalecana przez lekarzy jako niezwykle „zdrowotna", słynęła z dziecięcych pensjonatów. Prowadziły je często wychowawczynie warszawskich szkół w wynajmowanych na sezon willach" – pisała lokalna znawczyni dawnych letnisk Lidia Głażewska-Dańko.

W okresie przedwojennym liczona w tysiącach liczba letników znacznie przekraczała mieszkańców tych stron. Sezon trwał od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Niektórzy mieszkali tu całe lato, częściej jednak przybywali na kilka tygodni. Zdarzało się, że pracujący w Warszawie panowie domu odwiedzali małżonkę i dzieci jedynie w weekendy.

Kresem sielanki na tym terenie był wybuch II wojny światowej. Po jej zakończeniu okolica pod względem struktury mieszkańców zmieniła się niekiedy nie do poznania. Zniknęły całe żydowskie rodziny – właściciele majątków w Otwocku. Stopniowo rosła za to liczba stałych mieszkańców tych stron. Kwaterowano ich w dawnych letniskach. Powiększała się też liczba sanatoriów, które powstawały na wzór tych przedwojennych w dawnych pensjonatach.

Atrakcyjność okolicy i bliskość stolicy sprawiła jednak, że nad Świder znów w sezonie przyjeżdżały tłumy turystów. Świder wyróżniał się czystością i niezmiennie był dość bezpieczny.

Trzecia młodość

Po 1989 roku sam Świder i inne dawne letniska linii otwockiej coraz bardziej stawały się sypialnią Warszawy. Dawne przedwojenne zabudowania niszczały. Do dziś podczas spaceru nad brzegiem Świdra można spotkać resztki murów dawnych posiadłości czy schodów nad rzekę. Są także zabudowania – w bardzo różnym stanie – i niezmienny las oraz bujna roślinność nad rzeką.

Świder przeżywa swoją trzecią młodość. W letnie weekendy plaże zaludniają się pragnącymi odpocząć od zgiełku miasta warszawiakami. Zimowy Świder to jedno z najpopularniejszych miejsc mazowieckich morsów. Różne są też pomysły społeczników i samorządowców na nadświdrzańskie tereny. Rzeka w dużej części jest rezerwatem. Wysuwane więc raz na jakiś czas pomysły, by ją uregulować i zamiast dzikich plaż stworzyć infrastrukturę, która mogłaby przyciągnąć turystów, raczej się nie ziszczą. Przynajmniej na razie wciąż jest to jedno z najdzikszych i najpopularniejszych miejsc wypoczynku w bliskiej okolicy Warszawy.

> W LETNIE WEEKENDY PLAŻE ZALUDNIAJĄ SIĘ PRAGNĄCYMI ODPOCZĄĆ OD ZGIEŁKU MIASTA WARSZAWIAKAMI. ZIMOWY ŚWIDER TO JEDNO Z NAJPOPULARNIEJSZYCH MIEJSC MAZOWIECKICH MORSÓW.

*Tytuł pochodzi z utworu K.I. Gałczyńskiego „Wycieczka do Świdra".

eprasa.pl 2b805fee98

KAWAŁ HISTORII Tygodnika Solidarność

1 sierpnia o godzinie 17.00 stolica się zatrzymuje i wyją syreny. Obchodzimy 80. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego. W tym roku mija też 20 lat od otwarcia Muzeum Powstania Warszawskiego.

Sięgamy do numeru 31 „Tygodnika Solidarność” z 30 lipca 2004 roku, bo to właśnie nasze pismo przez lata PRL było głosem żyjących jeszcze Powstańców i ich rodzin. W tym numerze „TS” sporo zresztą rozmów z walczącymi w 1944 roku. Jan Olszewski mówi już wtedy, a była to 60. rocznica wybuchu Powstania: „Świętujemy ostatnią okrągłą rocznicę, podczas której jego [Powstania Warszawskiego] reprezentanci mogą wziąć udział w uroczystościach. To powinno być ich święto. Nie sądzę, by rocznica Powstania stanowiła dobrą okazję do załatwiania problemów politycznych”. Późniejsze lata pokazały, że pamięć Powstania jednak dzieli Polaków, ale na szczęście tylko do pewnej granicy. Nikt do tej pory nie poważył się bezcześcić pamięć poległych wtedy za wolną Polskę.

Wzruszający, bo w ramach osobistego świadectwa, jest tekst Macieja Junosza-Dominikowskiego o tym, jak czekał na swoją prawdziwą wojnę. „Od ponad pięciuset lat moi przodkowie stawali zbrojnie w obronie niepodległości państwa [...]. Miałem wtedy 17 lat. W konspiracji przeszedłem pełne przeszkolenie wojskowe” – pisze autor. Dzisiaj brakuje nam takich wzorów. Pan Maciej wspomina o dniach męki i chwały, a czytelnik ma poczucie, że poszedłby jeszcze raz do boju, gdyby trzeba było.

W tematach powstańczych przewija się jeszcze jeden wątek, jego upamiętnianie nie wszystkim się podoba. Prof. Norman Davis w bardzo ciekawej rozmowie z Marzanną Stychlerz-Kłucińską mówi, jak jego książka „Powstanie ’44” została w Europie przemilczana. „Przyznam bez wielkiej satysfakcji, że chyba najboleśniej dotknęło mnie, po ukazaniu się angielskiej wersji «Powstania ’44», milczenie środowisk żydowskich. Z ich strony oczekiwałem żywej dyskusji. Ale nie tylko z ich strony. Także większość historyków europejskich i większość amerykańskich jest przekonana, że Powstanie Warszawskie odbyło się w getcie”.

Pamięć o Powstaniu jednak się rozwija, co rok coraz więcej turystów z dosłownie całego świata dowiaduje się o bohaterstwie mieszkańców stolicy. Bo to była czysta sytuacja, walka dobra ze złem.

JP

eprasa.pl 2b805fee98

To długa droga, ale Solidarność zapowiada, że nie zejdzie z niej **aż do skutku**. Wprowadzenie emerytur stażowych to zdaniem związkowców rozwiązanie szeroko popierane i potrzebne. Po ostatnim posiedzeniu sejmowej Komisji Polityki Społecznej i Rodziny, podczas którego omawiano opracowany przez Solidarność obywatelski projekt w tej sprawie, związkowcy mają jeden postulat: rozpocznijmy wreszcie merytoryczne prace.

Barbara Michałowska, **Monika Rutke**

EMERYTURY STAŻOWE

Czekamy na merytoryczne prace

eprasa.pl 2b805fee98

Emerytury stażowe były jednym z tematów posiedzenia sejmowej Komisji Polityki Społecznej i Rodziny 26 lipca tego roku. Przypomnijmy, w lutym do komisji trafiły dwa projekty dotyczące emerytur stażowych – obywatelski projekt opracowany przez Solidarność oraz projekt posłów Lewicy. Są one procedowane razem.

„Życzliwość jest niewystarczająca"

Podczas posiedzenia przedstawiono opinię Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Jest ona przychylna rozwiązaniu od lat postulowanemu przez Solidarność. Nie przedstawiono jednak opinii rządu.

Fot. Adobe Stock

Henryk Nakonieczny, ekspert NSZZ „S", skomentował podczas posiedzenia stanowisko MRPiPS:

– W wypadku formalnym cieszy to stanowisko, ale nie ma wiążącego charakteru. Cieszy życzliwość pana ministra [Sebastiana Gajewskiego – przyp. B.M.], ale w tym wypadku życzliwość jest niewystarczająca.

Do tej kwestii odniósł się podczas posiedzenia także minister Gajewski. Powiedział:

– Niezwłocznie przystąpimy do przygotowania tego stanowiska rządu oraz podjęcia wszelkich analiz, zarówno o charakterze prawnym, proceduralnym, organizacyjnym, technicznym, jak i oczywiście finansowym, tak żeby stanowisko to w maksymalnie możliwym stopniu bazowało na aktualnej wiedzy i aktualnym stanie rzeczy.

O samych emeryturach stażowych mówił zaś: – Jest to rozwiązanie, które w sposób bardzo istotny wpływa na sytuację ubezpieczonych, jest dla nich ważne, więc ja widzę tutaj bardzo dużą przestrzeń na dialog społeczny.

Czekamy na prace merytoryczne

Henryk Nakonieczny przekonywał z kolei, że jak najszybciej powinny rozpocząć się prace merytoryczne nad projektem. Podkreślił, że projekt był szeroko konsultowany społecznie. Kilkaset tysięcy osób podpisało się pod nim w ramach obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej.

– Mam nadzieję, że rzeczywiście rozpoczniemy już szczegółową pracę nad projektem, bo my również się nie upieramy nad tym, że to rozwiązanie jest jedyne możliwe i objawione. Są możliwości stosowania różnego rodzaju zabezpieczeń, barier, żeby zmniejszyć liczbę uprawnionych. Można również emerytury stażowe rozłożyć w czasie, żeby zmniejszyć koszt ich wprowadzenia. Sami mamy wiele takich pomysłów. Tylko chcielibyśmy, żeby szanowna Komisja rozpoczęła już pracę merytoryczną, a nie tylko oczekiwanie na stanowisko rządu – dodał.

> ***Chcielibyśmy, żeby szanowna Komisja rozpoczęła już pracę merytoryczną, a nie tylko oczekiwanie na stanowisko rządu.***
>
> **HENRYK NAKONIECZNY**

Do prac w komisji odniósł się po jej posiedzeniu także uczestniczący w obradach Szymon Wawrzyszko, przewodniczący Zarządu Regionu Ziemia Przemyska NSZZ „Solidarność". – Wszyscy pracujemy na własną wysokość emerytury i osoby decydujące o wcześniejszym zakończeniu pracy w trudnym momencie życia, chcą przejść na emeryturę bez względu na to, jaka będzie jej wysokość. Czy emerytury stażowe będą oznaczały wysokie koszty? One zostały już w naszym projekcie policzone i one są wiadome. [...] Być może jednak istnieją inne obietnice rządu pierwsze w kolejce do spełnienia – powiedział.

„Będziemy walczyć do końca"

Do prac nad emeryturami stażowymi odniósł się także Piotr Duda w wywiadzie, którego udzielił „Dziennikowi Gazecie Prawnej". Pytany o szanse na wprowadzenie

eprasa.pl 2b805fee98

tego rozwiązania zaznaczył: „Gdybym był człowiekiem małej wiary, to już dawno spasowałbym w kwestii nie tylko emerytur stażowych, ale też pomostowych. Wprowadzenie «pomostówek» też trwało kilkanaście lat. Emerytury stażowe są jednym z Postulatów Sierpniowych z 1980 r., a okazuje się, że ich wprowadzenie idzie jak po grudzie. [...] Wiem natomiast jedno – my będziemy walczyć o emerytury stażowe do końca”.

> ***Gdybym był człowiekiem małej wiary, to już dawno spasowałbym w kwestii nie tylko emerytur stażowych, ale też pomostowych.***
>
> **PIOTR DUDA**

Rozwiązanie zgodne z oczekiwaniami społecznymi

Obywatelski projekt dotyczący emerytur stażowych opracowany przez Solidarność zakłada wprowadzenie do polskiego systemu prawnego emerytury przysługującej osobom urodzonym po 31 grudnia 1948 roku, które osiągnęły okres składkowy i nieskładkowy wynoszący 35 lat dla kobiet i 40 lat dla mężczyzn. „Jest to rozwiązanie zgodne z oczekiwaniami społecznymi osób, które ze względu na utratę sił będącą konsekwencją długiego okresu wykonywania pracy zarobkowej nie są w stanie kontynuować jej wykonywania aż do momentu osiągnięcia wieku emerytalnego” – napisano w uzasadnieniu projektu.

Według niego ubezpieczony miałby prawo do dokonania wyboru momentu zakończenia pracy zarobkowej. Aby zwiększyć swoją emeryturę, ubezpieczony legitymujący się dobrym stanem zdrowia mógłby kontynuować pracę zarobkową również po osiągnięciu wymaganego stażu ubezpieczeniowego.

„Zakładam, że zdolni do pracy będą chcieli zarabiać jak najdłużej. Jednak jeżeli ktoś jest na rynku pracy od ponad 40 lat, ma uzbierany odpowiedni kapitał, a jego sytuacja rodzinna czy zdrowotna nie pozwala mu już pracować, to niech ma możliwość przejścia na emeryturę. Nie może być tak, że taka osoba może pobierać wyłącznie rentę” – powiedział w ostatnim wywiadzie Piotr Duda. Mówił też, w jakich sytuacjach to rozwiązanie mogłoby pomóc: „W tej chwili wiele dużych firm zapowiada zwolnienia grupowe. Można tutaj przywołać PKP Cargo czy Walcownię Rur «Andrzej». Dla zwalnianych rozwiązaniem mogłyby być właśnie emerytury stażowe, bo bardzo wiele osób pracujących w obu tych firmach ma już odpowiedni okres składkowy. A za chwilę się okaże, że będą musieli pobierać nawet nie «pomostówkę», a zasiłek dla bezrobotnych lub świadczenie przedemerytalne, które nie zapewni im emerytury w pełnej wysokości wynikającej z kapitału uzbieranego na ich koncie w ZUS-ie”.

> ***Czy emerytury stażowe będą oznaczały wysokie koszty? One zostały już w naszym projekcie policzone i one są wiadome. [...] Być może jednak istnieją inne obietnice rządu pierwsze w kolejce do spełnienia.***
>
> **SZYMON WAWRZYSZKO**

Autorzy projektu podkreślają, że uzależnienie prawa do emerytury stażowej od spełnienia warunku przysługiwania emerytury w kwocie nie niższej od najniższego świadczenia emerytalnego prowadzić będzie do istotnego ograniczenia kosztów wprowadzenia tego rozwiązania.

14. postulat

O emerytury stażowe Solidarność walczy już od 44 lat. W 1980 roku to rozwiązanie było treścią 14. Postulatu Sierpniowego. Związek nigdy o emeryturach stażowych nie zapomniał. W 2015 i 2020 roku stażówki były wpisywane w umowy programowe, które Solidarność podpisywała z kandydatem na prezydenta Andrzejem Dudą.

Wreszcie, gdy w 2021 roku Związek nie mógł doczekać się inicjatywy w tej sprawie ze strony władz, sam opracował projekt. We wrześniu 2021 roku w ramach obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej projekt został złożony w Sejmie, a w grudniu tego roku odbyło się jego pierwsze czytanie. Potem jednak utknął w sejmowej komisji. Projekt po końcu poprzedniej kadencji nie uległ dyskontynuacji i wobec tego mógł zostać ponownie skierowany do czytania. Sprawozdawcą projektu, podobnie jak za pierwszym razem, był prof. Marcin Zieleniecki. Powtórne jego pierwsze czytanie odbyło się 8 lutego tego roku. Po nim projekt skierowano do prac w komisji.

eprasa.pl 2b805fee98

KARUZELA Z BLOGERAMI

SEAMAN

PROKURATURA BODNARA

Na wstępie pragnę poinformować, że wszelkie analogie tytułu mojego tekstu do obraźliwej frazy „Trybunał Przyłębskiej" są absolutnie niezamierzone. Po tym koniecznym zastrzeżeniu przechodzę do rzeczy, czyli kolejnej odsłony szemranego procederu koalicji 13 grudnia.

Sprawa zatrzymania Marcina Romanowskiego – niby prosta rzecz, ale dla Prokuratury Adama Bodnara okazała się za trudna, choć wystarczyło zwrócić się o informację, czy posła obejmuje europejski immunitet i wnieść o jego uchylenie. Ale co tam, furda immunitet, skoro igrzyska muszą mieć swoje tempo i rozmach. Zatem wybrano metodę „na rympał". Wiceminister sprawiedliwości zamówił u znajomych „opinie prawne" dla Prokuratury Bodnara. Tymi kwitami podparto decyzję o areszcie bez oglądania się na jakąś Radę Europy. No i teraz oburzają się na porównania do gangu Olsena...

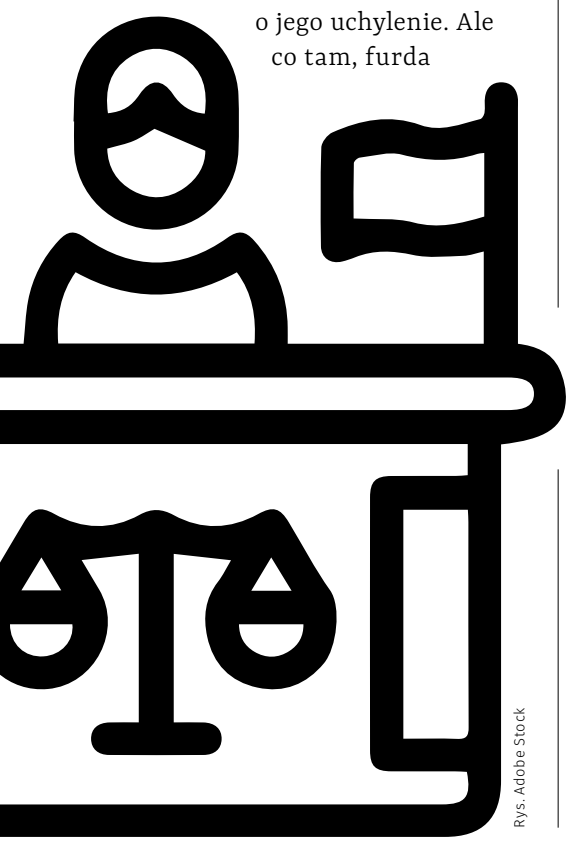

Rys. Adobe Stock

„Organy wymiaru sprawiedliwości zobligowane są do znajomości prawa i perfekcyjnego jego stosowania" – twierdzi sędzia Barbara Piwnik. Niestety, konstatacja byłej minister sprawiedliwości z czasów rządów SLD nie dotyczy obecnego stanu rzeczy. Dlatego rządy postkomuny, choć niekompetencją zbliżone do ekipy Donalda Tuska, możemy wspominać dzisiaj niemal z rozrzewnieniem. Owszem, jawi się tamten okres jako smętny zastój, lecz nie był to tępy i mściwy zamordyzm uprawiany przez obecny rząd. W symbiozie zamordyzmu z bezhołowiem nasze państwo stacza się w republikę bananową. W dodatku z rajfurem niemieckiej racji stanu na czele, któremu polecono skierować „całą siłę państwa policyjnego" przeciwko opozycji.

Zatem bezprawie z wolna paraliżuje kraj. W sensie merytorycznym nie istnieje już Prokuratura Krajowa ani urząd Prokuratora Generalnego. Po orzeczeniu SN, że sędzia-złodziej może nadal być sędzią, i po upolitycznieniu środowiska sędziowskiego faktycznie straciliśmy niezależne sądownictwo. Obecny szef PK jest powołany nielegalnie, co go dyskwalifikuje. Z kolei minister Bodnar konstytucję już niejednokrotnie zignorował, szukając innych podstaw prawnych. A to oznacza, że nie mamy państwa prawa, lecz kraj rządzony przez grandziarzy i partaczy.

W miejsce konstytucyjnych urzędów została ustanowiona Prokuratura Bodnara. To bardzo specyficzna instytucja, nieznana dotąd w szeroko pojętym wymiarze sprawiedliwości. Wyróżnia ją właśnie bezprawie i przemoc jako narzędzia działania oraz nieudacznictwo na elementarnym poziomie. Sprawa Romanowskiego stanowi tu niezbity dowód.

Jednak przy okazji tej sprawy wyszła na jaw najistotniejsza cecha Prokuratury Bodnara. Okazało się bowiem, że ten twór miał wiedzę o chroniącym posła prawie, lecz mimo to dokonano aresztowania. Jak mogło do tego dojść? Czy minister Bodnar postradał zmysły, stracił instynkt samozachowawczy? Cóż, tylko premier Tusk ma tyle władzy, żeby wymusić podobny numer i tyle pragnienia odwetu w sobie, aby się na to poważyć. Prokuratura Bodnara jest więc sterowana ręcznie i to z przedniego siedzenia, a motywem przewodnim nie jest przywracanie praworządności, lecz chora żądza zemsty.

eprasa.pl 2b805fee98

Pustka Tuska

Przed wyborami sprzyjające obecnej większości liberalne media często powtarzały narrację głoszącą, że powracający do polskiej polityki Donald Tusk jest już człowiekiem odmienionym. Lata pracy w Unii Europejskiej i sprawowanie w niej istotnych funkcji miały uczynić z lidera Platformy Obywatelskiej polityka formatu europejskiego, a nawet światowego. Dotychczasowa praktyka trzeciego rządu kierowanego przez Tuska pokazuje jednak, jak **niewiele zmienił się** ten polityk w ciągu minionych lat.

Marek Nowak

Proj. A.Ch. / Adobe Stock

KIEROWANY PRZEZ TUSKA RZĄD MERYTORYCZNIE POZOSTAJE PUSTY, A POLITYCZNIE JEST WIĘŹNIEM INTELEKTUALNEGO TERRORU DZIWACZNEGO INTERNETOWEGO ŚRODOWISKA SILNYCH RAZEM.

Kreśląc charakterystykę systemu władzy sprawowanego przez Tuska w latach 2007–2015, publicysta Piotr Zaremba odwołał się do następującej anegdoty: „Kiedy szukam najlepszego skojarzenia z Donaldem Tuskiem, przypomina mi się scena tuż po objęciu przez niego urzędu premiera. Jestem w jego gabinecie w Al. Ujazdowskich. W głębi wisi wycięta z gazety podobizna Lecha Kaczyńskiego. Ludzie Tuska, śmiejąc się, opowiadają, że nowy szef rządu pstryka w nią w chwilach frustracji. – Donald musi odreagować – mówi jeden z nich".

Pogarda jako narzędzie polityki

Rosnąca niechęć względem Lecha Kaczyńskiego, z którym lider PO przegrał wybory prezydenckie w 2005 roku, wkrótce potem przybrała formy niezwykle brutalnej walki politycznej. Mieliśmy więc liczne ataki polityków Platformy na głowę państwa, na czele z prowadzoną w knajackim stylu nagonką ówczesnego wiceprzewodniczącego partii Janusza Palikota (w wywiadzie dla „Super Expressu" z 2011 roku przyznał on, że swoje ataki na prezydenta ustalał z Donaldem Tuskiem). Powstało też to, co trafnie Piotr Zaremba nazwał „przemysłem pogardy". Zgodnie z definicją autora: „O ile promotorami wojny z Platformą (czasem, przyznajmy, bardzo brutalnej) byli sami politycy, na czele z Jarosławem Kaczyńskim, którzy walili nieraz na oślep w imię swoich racji, o tyle przeciw nim zorganizowano coś, co nazwałbym przemysłem pogardy i odzierania z godności, mobilizując do tego didżejów, autorów pozornie niepolitycznych

programów telewizyjnych, aktorów i piosenkarzy". Istotą „przemysłu pogardy" zawsze było jednak coś więcej niż tylko zohydzenie konkretnego politycznego przeciwnika. Chodziło o wyrobienie w odbiorcach pewnego odruchu, który ma działać wręcz mechanicznie poprzez wykluczanie wskazanych grup ludzi, postaw i poglądów nie tylko z debaty publicznej, ale i z całej politycznej i społecznej przestrzeni. „Jest coś, co budzi pogardę, co reprezentuje gorszą część Polski, coś, co nie jest trendy, więc trzeba to wyśmiać, trzeba temu przyłożyć. Te kpiny i to przykładanie stały się wręcz swoistą legitymacją przynależności do elit" – pisał Zaremba. O ile jednak „przemysł pogardy" w czasie pierwszych rządów PiS skupiony był bardziej na politykach tej formacji, o tyle już w czasie drugich rządów możemy mówić o swoistym przemyśle pogardy 2.0. Jego ofiarami zostali beneficjenci programów społecznych wprowadzonych przez PiS oraz prawdziwi lub domniemani wyborcy tej partii. Zawsze uważałem, że najgorszy rodzaj nienawiści to nienawiść do ofiar. W mediach liberalnych ten rodzaj nienawiści do ofiar transformacji, bezrobotnych, biednych, osób starszych czy matek z dziećmi pojawił się w skali niespotykanej nigdy w historii. Powracający do polskiej polityki Donald Tusk z pewnością zdawał sobie z tego sprawę. Jednak, choć jego głos byłby przynajmniej wysłuchany, nie zdecydował się na nic, co mogłoby obniżyć temperaturę jego rozgorączkowanego obozu politycznego. Przeciwnie, lider PO postawił na skrajną polaryzację jako główne narzędzie uprawiania polityki. W rezultacie kierowany przez Tuska rząd merytorycznie pozostaje pusty, a politycznie jest więźniem intelektualnego terroru dziwacznego internetowego środowiska Silnych Razem. Czy tak jak w czasie swoich pierwszych rządów Donald Tusk musiał „odreagować" wyborczą porażkę z Lechem Kaczyńskim, tak teraz musi „odreagować" 8 lat rządów PiS-u? Cóż, polityka ma wiele funkcji w życiu nie tylko dla jej odbiorców, lecz także dla samych polityków, ale może w przypadku tych drugich funkcja terapeutyczna to nie jest najwłaściwsze jej zastosowanie.

W MEDIACH LIBERALNYCH NIENAWIŚĆ DO OFIAR TRANSFORMACJI, BEZROBOTNYCH, BIEDNYCH, OSÓB STARSZYCH CZY MATEK Z DZIEĆMI POJAWIŁA SIĘ W SKALI NIESPOTYKANEJ NIGDY W HISTORII.

DZIŚ PUSTKĘ PLANÓW AKTUALNEGO RZĄDU (I SAMEJ POLITYKI PREMIERA) WYPEŁNIA POLITYKA REWANŻYZMU WZGLĘDEM POPRZEDNIKÓW.

Polityczny dryf

Niektórzy krytycy poprzednich rządów Donalda Tuska (2007–2015) podkreślali, że jego premierostwo skupione było na samym tylko politycznym trwaniu, było pozbawione głębszego i dalszego spojrzenia. Podczas jednego ze swoich przemówień, odpowiadając na te zarzuty, lider PO powiedział: „Kto ma wizję, niech idzie do lekarza". Był to rzadki przykład szczerości u polityka. System Tuska, mimo swojej sprawności i bezwzględności, na kilku obszarach służył głównie kultywowaniu bezruchu. Jego polityczną istotą była próba spetryfikowania wygodnego status quo. Lider PO nigdy nie wierzył w siłę reform ani w to, że sprawowanie władzy może być narzędziem modernizacji kraju. Nawet w kwestiach bliskich postępowej części swojego obozu politycznego, takich jak aborcja czy związki partnerskie, Tusk nie popychał żadnych progresywnych zmian do przodu. Najsensowniejszą reformę tamtego rządu, czyli likwidację OFE, wymusiła rzeczywistość – zostawienie OFE w ich dotychczasowej formie niechybnie skończyłoby się

eprasa.pl 2b805fee98

katastrofą społeczną i ekonomiczną analogiczną do tego, jak skończył się eksperyment z OFE w Chile. Był to jednak jedyny moment, gdy ekipa Tuska popadła w wyraźny konflikt ze swoim metapolitycznym otoczeniem. Zwykle lider PO unikał takich konfliktów. Stawiał na politykę konsekwentnego wygaszania państwa, ignorowania ludzkich potrzeb i stopniowego pozbywania się wszelkiej odpowiedzialności za jakikolwiek element funkcjonowania kraju. Postępujące uśmieciowienie rynku pracy, zapaść usług publicznych, czyli: zamknięcie ponad 1000 szkół, dziesiątek PKS-ów, posterunków i urzędów pocztowych, opakowane nieznośną neoliberalną ideologią odwrotu państwa, by „uwolnić energię Polaków", to dla wielu ludzi była przykra codzienność tamtych rządów. Dla Tuska oznaczała ona święty spokój i skupienie się na polityce ciągłego dryfu, a dla jego neoliberalnego otoczenia carte blanche na realizacje własnej agendy. Ostatecznie to realizacja tej agendy zwieńczona ustawą, która podnosiła wiek emerytalny do 67 lat, spowodowała najpierw erozję poparcia, a później przegraną rządzącej koalicji w wyborach parlamentarnych w 2015 roku. Donald Tusk był już w tym czasie od roku przewodniczącym Rady Europejskiej. Pełnił tę funkcję przez 5 lat, a następnie w latach 2019–2022 był przewodniczącym Europejskiej Partii Ludowej. W kampanii lider PO mówił niewiele o programie i swoich pomysłach na rozwój Polski, a skupił się na silnie polaryzacyjnym przekazie uderzającym w partię rządzącą. Gdy po raz trzeci został premierem, okazało się, że... wrócił do dawnego modelu sprawowania władzy.

Nowy czy stary Tusk?

W opowieściach o tym, jak to wieloletnia praca w instytucjach Unii Europejskiej dużo nauczyła Donalda Tuska i jak to powraca on do Polski jako „polityk światowego formatu", przerastający innych polityków wiedzą i doświadczeniem, zawsze było sporo wschodnioeuropejskiej fantazji podszytej kompleksami. Po pierwsze – politycy bardzo rzadko się zmieniają, a ci, którzy mają już na koncie sprawowanie ważnych państwowych funkcji, zmieniają się jeszcze rzadziej. Po drugie – polityka UE często polega na sztuce lawirowania, unikania konkretów i zastępowania ich mniej lub bardziej zgrabnymi sloganami oraz mówienia o problemach na okrągło, a także na braku wyjścia poza coraz mniej przystające do rzeczywistości schematy. Czy rzeczywiście po dłuższym zetknięciu z taką taktyką politycy automatycznie nabierają „światowego formatu"? Można w to wątpić. W przypadku Donalda Tuska wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia ciągle z tym samym politykiem uprawiającym niezmieniony model polityki, dokładnie taki, jaki cechował go w latach 2007–2015. Mimo obietnic złożonych progresywnej obyczajowo części swojego elektoratu nie uchwalono związków partnerskich, a ustawa aborcyjna pozostaje w niezmienionej formie. W polityce gospodarczej brak jest jakiejkolwiek wizji rozwoju lub chociaż szczątkowego jej zarysu. W polityce obronnej też próżno szukać jakichkolwiek konkretów (Jaki jest pomysł rządu na modernizację armii?). Zamiast tego mamy coraz bardziej widoczny polityczny dryf. Jaka ma być Polska pod rządami obecnej ekipy? Tego ciągle nie wiemy. Dziś pustkę planów aktualnego rządu (i samej polityki premiera) wypełnia polityka rewanżyzmu względem poprzedników. Polityka ta jest coraz bardziej nakręcana, w miarę pojawiania się kolejnych problemów, którymi powinna się zająć ekipa rządząca. O tym, jak szkodliwa to droga dla państwa i społeczeństwa, pisałem już na tych łamach kilkukrotnie. Pozostaje także pytanie, czy ten rodzaj paliwa wystarczy obozowi Tuska na całą kadencję? W mojej ocenie już widać, że ono się wyczerpuje. Co będzie później? Czy obecny premier ma jakąś inną agendę polityczną? Na razie nic na to nie wskazuje.

POSTĘPUJĄCE UŚMIECIOWIENIE RYNKU PRACY, ZAPAŚĆ USŁUG PUBLICZNYCH, CZYLI: ZAMKNIĘCIE PONAD 1000 SZKÓŁ, DZIESIĄTEK PKS-ów, POSTERUNKÓW I URZĘDÓW POCZTOWYCH, TO DLA WIELU LUDZI BYŁA PRZYKRA CODZIENNOŚĆ RZĄDÓW TUSKA.

eprasa.pl 2b805fee98

Ile warte są antyukraińskie mity

Okazywanie niechęci do Ukraińców staje się w Polsce coraz bardziej modne. Oparte na poczuciu zagrożenia oraz **kompleksach** wywołuje emocje, które mają świadczyć o przywiązaniu do patriotyzmu i odwadze. W rzeczywistości jednak uprzedzenia te nie znajdują potwierdzenia w faktach.

Mariusz Staniszewski

Fot. Michał Sierszak / Forum

Euromajdan Warszawa – demonstracja solidarności z ofiarami wojny; 9 lipca br.

eprasa.pl 2b805fee98

Pojawienie się kilku milionów Ukraińców zmieniło Polskę z kraju w zasadzie homogenicznego w wielonarodowy. Dodatkowo przestaliśmy być państwem emigracyjnym, a staliśmy się miejscem, w którym pragną się osiedlać przybysze z miejsc bliskich i dalekich nam kulturowo. Ponieważ stało się to w zaledwie kilka lat, jako społeczeństwo nie zdążyliśmy się do tego przygotować.

Po okresie solidarności z atakowanym przez Rosjan narodem, nastąpił więc moment zderzenia z nową rzeczywistością, która nieco nas zaskoczyła. Musiały się więc pojawić negatywne emocje.

Przyjrzyjmy się więc kilku mitom.

Żyją na nasz koszt?

Na koniec pierwszego kwartału bieżącego roku w ZUS było zarejestrowanych 1,1 mln ubezpieczonych obcokrajowców, z czego najliczniejszą grupę stanowili Ukraińcy. Blisko 60% płacących składki było zatrudnionych na umowę o pracę, pozostali na umowę o dzieło lub w oparciu o inne formy.

Właśnie z tego powodu ZUS odnotował największą liczbę pracujących w historii. Z danych tej instytucji wynika, że w kwietniu liczba osób płacących składki emerytalne wyniosła 15,805 mln i było to o 50 tys. więcej niż w marcu i o 321 tys. więcej w porównaniu z lutym 2020 r. Ubezpieczeniem zdrowotnym było zaś objętych 17,7 mln osób. ZUS podaje, że 6% ubezpieczonych to obcokrajowy i to oni właśnie powodują, że suma składek rośnie.

Oczywiście trudno podać precyzyjną liczbę stale pracujących i przebywających w Polsce obywateli Ukrainy. Od ubiegłego roku ulega ona jednak niewielkim zmianom. Z wyliczeń za rok 2023 wynika, że koszt pobytu w naszym kraju przybyszów zza południowo-wschodniej granicy wynosił 4,9 mld zł. Składały się na to świadczenia rodzinne (ok. 2 mld zł oraz wydatki na edukację 2,9 mld zł). Z kolei daniny (składki i podatki), które odprowadzali pracujący tu Ukraińcy wynosiły 5,5 mld zł.

Z tego bardzo uproszczonego rachunku (nie uwzględniono tu wydatków gmin oraz składek na NFZ) wynika więc, że jako państwo zyskujemy na przybyszach z Ukrainy około pół miliarda złotych rocznie.

eprasa.pl 2b805fee98

Zabierają nam miejsca pracy?

Przedstawione powyżej wyliczenie nie uwzględnia oczywiście zysków firm, które zarabiają na pracy imigrantów. W raporcie zlikwidowanego niedawno Instytutu Pokolenia „Szanse i wyzwania związane z masową imigracją Ukraińców" czytamy: „Można przyjąć, że uchodźcy z Ukrainy będą dodawać ok. 0,21–0,14 pkt. proc. rocznie przez kolejnych 20 lat (wpływ na PKB będzie malał z czasem). Zyski będą więc długotrwałe".

Na sytuację tę należy patrzeć w kontekście zapaści demograficznej, którą przeżywa obecnie Polska – mamy najniższy wskaźnik dzietności w historii. Imigranci – a tu największą grupę stanowią Ukraińcy – zapełniają więc lukę, która powstaje na rynku pracy. Warto zauważyć, że mimo pojawienia się w Polsce około 2,5 mln obcokrajowców (biorąc pod uwagę imigrację sprzed 2022 roku i tę po wybuchu wojny) mamy obecnie najniższe bezrobocie w historii.

Zresztą polski biznes nie jest już w stanie obyć się bez pracowników z Ukrainy. Dane z „Barometru rynku pracy 2024" Gi Group pokazują, że 18,4% firm w Polsce zatrudnia obecnie obcokrajowców (z tego 83% to Ukraińcy). Co więcej, według deklaracji liczba ta ma jeszcze wzrosnąć w najbliższym roku, gdyż przedsiębiorstwa chcą rekrutować cudzoziemców. Niemal co piąte zamierza zatrudniać właśnie obywateli Ukrainy.

Zainteresowanie przybyszami wynika z faktu, że w Polsce w wielu branżach brakuje już rąk do pracy. Jedynym sposobem utrzymania rozwoju – w wymiarze poszczególnych firm oraz makroekonomicznym – jest więc pozyskiwanie pracowników z zagranicy.

Z danych OECD [Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju – przyp. red.] wynika, że Polska jest krajem, w którym przybysze z tego ogarniętego wojną kraju wykazują się najwyższą aktywnością zawodową. Dodatkowo w latach 2022–2023 Ukraińcy zarejestrowali w naszym kraju 44,5 tys. jednoosobowych działalności gospodarczych. Oznacza to, że co dziesiątą tego rodzaju mikrofirmę założyli imigranci z sąsiedniego państwa.

Czy polski rząd jest uległy wobec Kijowa?

Tak zwani polityczni realiści powtarzają tezę, że władze w Warszawie są zbyt proukraińskie, by nie powiedzieć, że reprezentują bardziej interesy Kijowa niż własne. Warto w takiej sytuacji przyjrzeć się faktom.

Wojna wywołana przez Rosję zupełnie zmieniła cele polityki zagranicznej. Nie wchodząc w rozważania o tym, jak daleko na Zachód zamierzał ze swoją armią zapuścić się Władimir Putin, nie ulega wątpliwości, Rosja jest największym militarnym zagrożeniem dla Polski. Wspieranie kraju, który stawia czynny opór, a mówiąc wprost, zabija rosyjskich żołnierzy i niszczy potencjał wojskowy agresora, jest najlepszym sposobem osłabiania strategicznego wroga. W rzeczywistości jest najniższą ceną, jaką można zapłacić za to, że armia rosyjska się wykrwawia.

Z drugiej strony Polska zyskała status państwa o znaczeniu strategicznym jako kraj graniczny. Widać to szczególnie w polityce amerykańskiej. USA nie tylko zwiększyły obecność wojskową u nas oraz wyraziły zgodę na sprzedaż naszej armii najnowocześniejszego uzbrojenia, ale także zmieniły strategię wobec Europy. Uznały, że ich obecność wojskowa i polityczna w tym regionie, szczególnie w Europie Środkowo-Wschodniej, ma fundamentalne znaczenie.

WSPIERANIE KRAJU, KTÓRY STAWIA CZYNNY OPÓR, A MÓWIĄC WPROST, ZABIJA ROSYJSKICH ŻOŁNIERZY I NISZCZY POTENCJAŁ WOJSKOWY AGRESORA, JEST NAJLEPSZYM SPOSOBEM OSŁABIANIA STRATEGICZNEGO WROGA.

„MOŻNA PRZYJĄĆ, ŻE UCHODŹCY Z UKRAINY BĘDĄ DODAWAĆ OK. 0,21–0,14 PKT PROC. ROCZNIE PRZEZ KOLEJNYCH 20 LAT. ZYSKI BĘDĄ WIĘC DŁUGOTRWAŁE".

eprasa.pl 2b805fee98

Z punktu widzenia interesów Polski – niekoniecznie dostrzeganych przez obecny rząd – zaangażowanie Amerykanów w Europie jest gwarantem stabilizacji i blokuje niebezpieczną dla nas francusko-niemiecką koncepcję „strategicznej autonomii", czyli wypchnięcia USA z Europy i przejęcia przez Paryż i Berlin kwestii bezpieczeństwa na Starym Kontynencie. Dla Polski realizacja tego pomysłu oznaczałaby absolutną marginalizację.

Warto w tym miejscu dodać, że Polska jest obecnie drugim po Chinach i największym w Europie eksporterem towarów na Ukrainę. W ubiegłym roku sprzedaliśmy tam towary za 6,6 mld dolarów, przy imporcie na poziomie 4,7 mld dolarów. Zachowujemy więc dodatni bilans handlowy.

Polska się zukrainizuje?

Kolejnym często powtarzanym lękiem jest stwierdzenie, że kultura ukraińska wyprze kulturę polską, a nasz kraj się zukrainizuje. Najsilniejszym argumentem potwierdzającym tę tezę są reklamy z ukraińskimi napisami, wystawianie sztuk tamtejszych artystów czy wreszcie język ukraiński obecny powszechnie w przestrzeni publicznej.

Czasem trudno uwierzyć, że tego rodzaju sądy powtarzają osoby z gruntownym wykształceniem humanistycznym. Niczego nie ujmując kulturze ukraińskiej, polska jest znacznie bardziej atrakcyjna i bogatsza. Dodatkowo Polacy nie są szczególnie zainteresowani zagłębianiem się w meandry tamtejszej literatury, muzyki czy sztuki.

Z kolei sami Ukraińcy, chcąc robić w naszym kraju kariery, są zmuszeni nie tylko do uczenia się języka polskiego, ale też poznawania naszego kodu kulturowego, gdyż bez tego zawsze pozostaną na marginesie. O tym, jak działa ten mechanizm, przekonał się każdy, kto choć trochę czasu spędził za granicą. Napływ Polaków i imigrantów z innych państw nie spowodował wynarodowienia się Anglii, Niemiec czy Islandii. Jest raczej odwrotnie – ci, którzy pragną skorzystać z możliwości, jakie daje nowy kraj, muszą jak najszybciej się w niego wtopić.

W przypadku Ukraińców, a zwłaszcza Ukrainek, widać, że proces ten przebiega według tego właśnie schematu. Kobiety z tego kraju szybko zorientowały się na przykład, że w Polsce obowiązują inne normy – prawne i kulturowe – relacji damsko-męskich. U nas są mniej paternalistyczne, a zdecydowanie oparte na partnerstwie. Szybko przejmują ten wzorzec jako bardziej dla nich atrakcyjny.

Realne zagrożenia

W rzeczywistości znacznie groźniejsze jest alienowanie się Ukraińców z polskiego społeczeństwa i tworzenie całkowicie lub częściowo zamkniętych enklaw. Jeśli tak się stanie, mogą powstać strefy poza kontrolą polskiego państwa, a za to bardzo podatne na wpływy obcej propagandy.

O tym, jak jest to groźne, przekonali się Niemcy, którzy w latach 90. zeszłego wieku i na początku obecnego w zwartych skupiskach osiedlali swoich rodaków z Rosji. Ludzie ci znaleźli się na granicy kultur niemieckiej i rosyjskiej, ale Moskwa zapewniła im dostęp do swojej prasy, kultury czy telewizji. W efekcie stworzyła na terytorium Republiki Federalnej grupę podatną na kremlowską propagandę. To właśnie rosyjscy Niemcy po agresji na Ukrainę organizowali w Dreźnie, Lipsku i innych dużych miastach demonstracje poparcia dla Władimira Putina i wymachiwali flagami z literą „Z", symbolem zbrodniczej napaści.

Najpoważniejszy problem może się jednak pojawić po zakończeniu wojny, a wydaje się, że dziś nie jesteśmy na niego zupełnie przygotowani. Gdy ustaną walki do Polski może przyjechać kilkaset tysięcy mężczyzn, których żony i partnerki już się u nas osiedliły. Wielu z nich będzie miało trudności adaptacyjne, które są skutkiem samego udziału w wojnie. Osoby z zaburzeniami wynikającymi ze stresu bojowego będą potrzebowały pomocy. W przeciwnym razie mogą stać się realnym problemem społecznym, gdyż nie tylko są przyzwyczajone do przemocy, ale też doskonale potrafią posługiwać się bronią.

Z PUNKTU WIDZENIA INTERESÓW POLSKI ZAANGAŻOWANIE AMERYKANÓW W EUROPIE JEST GWARANTEM STABILIZACJI I BLOKUJE NIEBEZPIECZNĄ DLA NAS FRANCUSKO-NIEMIECKĄ KONCEPCJĘ „STRATEGICZNEJ AUTONOMII".

eprasa.pl 2b805fee98

W ostatnich tygodniach w amerykańskiej kampanii wyborczej doszło do serii wstrząsów: próba zamachu na Donalda Trumpa (byłego prezydenta i kandydata w nadchodzących wyborach prezydenckich), wskazanie przez niego kandydata na wiceprezydenta, rezygnacja Joe Bidena i wejście do gry o nominację przez Kamalę Harris (obecną wiceprezydent). **Oglądamy thriller**, który zapewnia wiele emocji oraz skupia na USA jeszcze więcej oczu. Walka o przyszłą prezydenturę nabiera rumieńców i tempa. Co dla Polski wynika z tej amerykańskiej układanki?

Stanisław Żaryn*

Amerykańska KARUZELA

eprasa.pl 2b805fee98

W Polsce debata publiczna na temat wyborów w USA przypomina coraz mocniej debatę o polskich wyborach. Wielu komentatorów, a nawet polityków, buduje obraz starcia dobra ze złem. Ten typ opowieści nasilił się jeszcze po tym, gdy prezydent Biden wycofał się z kampanii. Potencjalna nominacja dla Kamali Harris spowodowała, że kampania Demokratów nabrała wiatru w żagle. Propaganda sukcesu jest związana między innymi z fatalnym wrażeniem, które robiła ostatnia aktywność prezydenta Bidena. W Polsce kryzys jego kampanii był przedstawiany jako pokłosie złej debaty Trump – Biden, w której aktualny prezydent wypadł bardzo słabo. Potem doszły do tego kompromitujące wpadki w czasie szczytu NATO (przedstawiając Wołodymyra Zełenskiego, powiedział o nim „prezydent Putin"), które przypieczętowały zapewne decyzję o rezygnacji obecnego prezydenta USA. Jednak kryzys jego wizerunku zaczął się dużo wcześniej, a oba zdarzenia – debata i wpadki w czasie szczytu – tylko umocniły wizerunek Bidena jako kandydata, który „nie daje już rady". Sytuacja stała się na tyle poważna, że prezydent został przymuszony do wycofania się, choć wcale tego nie chciał.

Ostateczna decyzja o rezygnacji sprawiła nie lada problem Demokratom, na co wskazywał były dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych Sławomir Dębski, zaznaczając, że mimo wizerunkowego kryzysu liderzy Demokratów przez miesiące przekonywali swoich zwolenników, że Joe Biden nadaje się na kandydata i ma realne szanse na wygraną. Kamala Harris, która ma największe szanse na nominację, musi więc szybko odbudować zaufanie i pokazać siebie jako poważnego pretendenta do prezydentury. Pojawienie się tematu jej nominacji odbiło też trend, który widać było po nieudanym zamachu na Trumpa – wtedy wiele osób mówiło, że „Trump już wygrał". W przypadku Harris hurraoptymizm komentatorów może więc wynikać z poprzednich obaw, czy Biden jest w stanie skutecznie walczyć z Trumpem. W pierwszym okresie Harris będzie beneficjentem tych nadziei i ulgi, jaka w szeregach Demokratów jest dziś widoczna. Z czasem jednak kandydatka będzie musiała zacząć zyskiwać nowych wyborców tym, co mówi, tym, kim jest i co proponuje. A to może wyhamować skalę jej poparcia. Kamala Harris bowiem wciąż pozostaje w pewnej mierze niewiadomą. Jest ona osobą znaną głównie z działań niepolitycznych – zajmowała się przez lata wymiarem sprawiedliwości, na czym bazuje do dziś. Jej potencjalna prezydentura jest przedstawiana jako kontynuacja polityki Bidena, ale ona osobiście nie jest znana z żadnego poważnego projektu politycznego w USA, a tym bardziej na arenie międzynarodowej. Harris dała się poznać głównie z lansowania projektów ideologicznych i lewicowych, co plasuje ją w mocno lewicowym skrzydle Demokratów. Choć pełni ona funkcję wiceprezydenta USA od lat, dziś trudno

KAMALA HARRIS, KTÓRA MA NAJWIĘKSZE SZANSE NA NOMINACJĘ, MUSI SZYBKO ODBUDOWAĆ ZAUFANIE I POKAZAĆ SIEBIE JAKO POWAŻNEGO PRETENDENTA DO PREZYDENTURY.

Kamala Harris na międzynarodowym lotnisku w Indianapolis; USA, 24 lipca br.

Fot. Jon Cherry / Reuters / Forum

eprasa.pl 2b805fee98

przesądzić, jaka byłaby jej prezydentura w kwestiach najważniejszych. Wydaje się, że będzie ona przede wszystkim zależeć od współpracowników Harris i decyzji jej zaplecza politycznego. Dziś już jednak pojawiają się doniesienia medialne w USA, że nie będzie chciała współpracować z najważniejszymi urzędnikami administracji Bidena (mowa o sekretarzu obrony i sekretarzu stanu), co oznacza, że prezydentura Harris prawdopodobnie będzie pewną niewiadomą i będzie ewoluować. To może być zupełnie inna prezydentura niż Bidena. Być może w kolejnych tygodniach poznamy więcej jej pomysłów i osobistych planów.

Rosyjskie łatki

Nominacja dla Kamali Harris będzie skutkowała kontynuowaniem propagandy sukcesu – to zapewne jeden z przekazów, który wykorzystywany będzie do końca kampanii. Wszystko wskazuje też na to, że sama Harris będzie pokazywana jako polityk zupełnie inny niż Donald Trump. Zarówno w USA, jak i w Polsce jedną z głównych akcentowanych obecnie różnic jest kwestia związana z wymiarem sprawiedliwości. Sztabowcy Harris eksponują jej doświadczenia z prokuratury, przypominając, że ona ścigała przestępstwa, a Donald Trump jest objęty śledztwami. Innym, znacznie poważniejszym z polskiego punktu widzenia, wątkiem jest sprawa polityki i podejścia Donalda Trumpa i Kamali Harris do NATO oraz Ukrainy i Rosji. W działaniach informacyjnych przekonuje się, że Trump jest kandydatem groźnym, a Harris zapewnia stabilność i bezpieczeństwo, będzie bowiem kontynuowała politykę Bidena (choć to może być fałszywym założeniem). Taki przekaz widać również w Polsce, gdzie niektóre komentarze wprost oskarżają Trumpa o politykę prorosyjską. Przywoływane są choćby zaskakujące wypowiedzi J.D. Vance'a, który kilkakrotnie apelował o skupienie się USA na wewnętrznych sprawach i zmniejszenie zaangażowania na rzecz Ukrainy. Jednak obraz kampanii w USA, budowany na zasadzie zły Trump – dobra Harris, jest z gruntu fałszywy i opiera się na skrótach myślowych i uprzedzeniach. Działania Donalda Trumpa, co widać również w jego zapleczu politycznym, w większej mierze oparte są na myśleniu transakcyjnym, co w kontakcie z Rosją może być zupełną porażką albo przynieść ogromne korzyści. Trump jest człowiekiem myślącym niesztampowo, którego stać na nieszablonowe działanie. Może być ono nieskuteczne, ale na pewno nie widać w polityce Trumpa prorosyjskości. To za czasów Trumpa podjęto decyzję o wsparciu wojskowym Ukrainy na znacznie większą skalę, to za czasów Trumpa wzmocniona została wschodnia flanka NATO. To również Trump zaczął stosować politykę sankcji wobec Rosji, choćby w zakresie neutralizacji dominacji energetycznej w Europie, co wyhamowała potem administracja Bidena. To również Trump krytykował mocno – co robi do dziś – te kraje NATO, które działają niczym „pasażer na gapę" i nie wywiązują się ze swoich zobowiązań. Kamala Harris nie miała do tej pory odpowiedzialności za całość administracji USA, więc nie miała szansy podejmować decyzji związanych z polityką tego kraju wobec Ukrainy i Rosji. Ale znane decyzje Trumpa pokazują jednoznacznie, że prowadził on politykę neutralizującą rosyjskie wpływy w Europie.

W INTERESIE POLSKI JEST PRZEDE WSZYSTKIM WIARYGODNY, STABILNY I SILNY SOJUSZ Z USA BEZ WZGLĘDU NA TO, KTO ZOSTANIE TAM PREZYDENTEM.

TO WŁAŚNIE ZE ŚRODOWISKA SKUPIONEGO WOKÓŁ TRUMPA WYCHODZĄ OFENSYWNE PROPOZYCJE NA TEMAT WSPARCIA DLA UKRAINY.

Od słów do czynów...

Decyzje Trumpa w przeszłości stały w kontrze do jego własnych słów. Wielokrotnie wypowiadał się on w sposób pozytywny o Putinie, co dla wielu jest dowodem na jego prorosyjskość. Słowa mają swoje znaczenie i mówienie o zbrodniarzu w sposób ciepły i pozytywny trzeba oceniać jako błąd i działania szkodli-

eprasa.pl 2b805fee98

we. Jednak to wydaje się być częścią polityki Trumpa opartej na myśleniu i taktyce biznesowej. Jeśli ma on „zmierzyć się" z Putinem i Rosją, nie będzie jej deprecjonował, a nawet pokaże jej siłę, by zwycięstwo smakowało lepiej. Ten typ myślenia widać w działaniu Trumpa. I widać było to również za jego prezydentury, która obfitowała w działania wymierzone w Rosję. Co więcej, dziś to właśnie ze środowiska skupionego wokół Trumpa wychodzą ciekawe i często ofensywne propozycje na temat przyszłego wsparcia dla Ukrainy i polityki wobec Rosji. Bardzo prawdopodobne jest choćby zniesienie przez Trumpa obostrzeń dotyczących użycia amerykańskiej broni przez Ukrainę. Do dziś, czego zwolennicy Bidena i Harris nie chcą zauważać, Waszyngton nie daje zgody Ukrainie, by wykorzystywała amerykańską broń do ataków na cele wojskowe położone w głębi Rosji. Taka zgoda byłaby dużym przełomem w wojnie i pozwoliłaby niszczyć rosyjskie zaplecze wojskowe i logistyczne. Medialne doniesienia wskazywały również kilkukrotnie, że obecna amerykańska administracja stopowała niektóre działania i ataki ukraińskie. Takich obostrzeń za Trumpa mogłoby nie być. Komentatorzy, którzy oceniają politykę Republikanów i Demokratów wobec Rosji, Ukrainy i ich stanowisko wobec rosyjskiej napaści, często stosują manipulacje, zauważając i dostrzegając powody do krytyki jedynie w jednym środowisku. Obu obozom można coś zarzucać, ale prezentowanie którejkolwiek z głównych partii w USA jako sprzyjającej Rosji jest absurdem.

Zdrowy dystans

Prezydent Polski Andrzej Duda wielokrotnie powtarzał w wywiadach, że interesem strategicznym RP jest utrzymywanie dobrych relacji z każdą administracją USA. Polska musi mieć dobre kontakty i możliwości współpracy z amerykańską administracją bez względu na to, kto zostanie przyszłym prezydentem. To kluczowe dla naszych interesów, ale również dla całego NATO, z uwagi na znaczenie Polski na wschodniej flance Sojuszu. Tym bardziej dziwi jawne zaangażowanie niektórych polityków w promowanie jednej strony sporu politycznego w USA. Przez tygodnie premier, niektórzy ministrowie i posłowie koalicji rządzącej atakowali Republikanów, prezentowali sprzyjające Demokratom stanowisko, a ostatnio przyznają, że trzymają kciuki za Kamalę Harris. Ten typ działania może się przełożyć na stosunki Polski i USA, jeśli zwycięzcą i następnym prezydentem będzie Donald Trump. Ewidentnie konfrontacyjna polityka wobec środowiska Republikanów prowadzona również osobiście przez premiera Donalda Tuska będzie odciskała się w takim scenariuszu na współpracy Stanów Zjednoczonych i RP. Prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski, oceniając podejście polskiego rządu do Republikanów i Trumpa, wskazuje wręcz na szalenie groźny scenariusz, w którym rząd Donalda Tuska może wspierać w przyszłości Niemcy w ich politycznej konfrontacji z USA, w przypadku wygranej Trumpa. Byłoby to politycznie bardzo niebezpieczne, ale niestety z takim scenariuszem możemy się spotkać już w przyszłym roku.

To Amerykanie, a nie Polacy wybierają prezydenta w USA. Jednak poziom emocji dotyczących kampanii amerykańskiej już obecnie i w Polsce jest wysoki. A będzie jeszcze wyższy. I trudno się dziwić – kampania w Stanach jest zawsze w centrum uwagi świata, w tym również naszych wrogów. I to także niepokoi. Mamy obecnie w USA ewidentny kryzys przywództwa politycznego. Od czasu rezygnacji Joe Bidena z kampanii część komentatorów i polityków idzie dalej i oczekuje zrzeczenia się przez niego urzędu prezydenta. Takie dyskusje pokazują nie tylko Amerykanom, ale też innym, że Stany Zjednoczone są słabe. A to może być kosztowne dla całego świata Zachodu, jeśli sygnał o słabości USA odczytają państwa wrogie wobec nich i zaczną testować Zachód. Już wcześniej okres kampanii wyborczej w USA – z uwagi na zachowawczość i wymogi kampanii – był dla Zachodu okresem potencjalnego ryzyka i zagrożeń. Dziś są one dużo większe, co również pokazuje, że w interesie Polski jest przede wszystkim wiarygodny, stabilny i silny sojusz z USA bez względu na to, kto zostanie tam prezydentem.

W POLITYCE TRUMPA NIE WIDAĆ PROROSYJSKOŚCI. TO ZA JEGO CZASÓW PODJĘTO DECYZJĘ O WSPARCIU WOJSKOWYM UKRAINY NA ZNACZNIE WIĘKSZĄ SKALĘ ORAZ WZMOCNIONA ZOSTAŁA WSCHODNIA FLANKA NATO.

*Autor jest doradcą prezydenta RP

eprasa.pl 2b805fee98

Politykierzy, a nie urzędnicy: tak wybiera się unijnych komisarzy

Chociaż Komisja Europejska powinna być ciałem ekspertów znających się na branżach, za które odpowiadają, to ich wybór przypomina raczej polityczne targi znane z tworzenia krajowych rządów. Ursula von der Leyen najpierw zbierze grono potencjalnych kandydatów, a dopiero potem zdecyduje, za co dani politycy będą odpowiadać. I co najbardziej niepokojące – nie ma w tym ani słowa, czy dany kandydat posiada **jakiekolwiek kompetencje** do zajmowania się daną tematyką.

Adrian Siwek

W połowie lipca Parlament Europejski zdecydował, że Ursula von der Leyen będzie kontynuować swoją misję przewodniczącej Komisji Europejskiej przez drugą kadencję. Za jej wyborem zagłosowało 401 europosłów, przeciw opowiedziało się 284, 15 europosłów było nieobecnych, a 7 głosów zostało oddanych nieważnie.

Komisarzy brak

Komisję Europejską tworzyć będzie łącznie 27 polityków, wliczając w to przewodniczącą KE. Wśród nich znajdą się przedstawiciele wszystkich państw tworzących UE. I chociaż od wyborów do Parlamentu Europejskiego i przegłosowania kandydatury przewodniczącej minęło już sporo czasu, to skład komisji wciąż pozostaje zagadką. Sama Ursula von der Leyen zapowiadała, że komisarzy poznamy podczas wakacji, ale czas mija, a konkretów cały czas brak.

Do tej pory potwierdzono jedynie, że Estonka Kaja Kallas stanie na czele unijnej dyplomacji. Oprócz tego część państw zgłosiła już swoich przedstawicieli do Komisji Europejskiej, ale w żadnym z przypadków oficjalnie nie potwierdzono, którą tekę komisarza oni obejmą. Jest to zresztą cały czas przedmiotem negocjacji. Przykładowo unijne frakcje Socjaldemokratów i Zielonych domagają się, aby za komisję zajmującą się implementacją Zielonego Ładu odpowiadała Hiszpanka, socjalistka Teresa Ribera. Tym tematem chciałby się jednak zajmować także Holender Wopke Hoekstra, uchodzący za bardziej konserwatywnego polityka.

Politycy, a nie urzędnicy

Komisarze przynajmniej w teorii mają być ekspertami w danych dziedzinach, odpowiadając za kluczowe obszary unijne, takie jak na przykład transformacja energetyczna, rolnictwo czy rybołówstwo. W praktyce tak to jednak nie wygląda, bo na razie państwa po prostu zgłaszają kandydatów-polityków niemal na oślep, nie wiedząc w zasadzie, jaką tematyką przyjdzie się im zajmować.

Logiczne wydaje się, że najpierw powinno dojść do rozdzielenia tek, a potem wyboru przez poszczególne kraje kandydata najbardziej odpo-

Ursula von der Leyen po wyborze na stanowisko przewodniczącej Komisji Europejskiej na drugą kadencję w Parlamencie Europejskim; Strasburg, Francja, 18 lipca br.

Fot. Johanna Geron / Reuters / Forum

eprasa.pl 2b805fee98

wiadającego temu stanowisku i posiadającego najwyższe kompetencje. Jeszcze do niedawna próbowano chociaż zachowywać takie pozory. W pierwszej komisji Ursuli von der Leyen, kiedy do Polski trafiła teka komisarza rolnictwa, rząd Prawa i Sprawiedliwości desygnował Janusza Wojciechowskiego, znającego się na tej tematyce (bez względu na ocenę jego działań w kwestii Zielonego Ładu i wszystkie kontrowersje z tym związane). Tym razem nikt nawet nie próbuje udawać, że jakiekolwiek przesłanki merytoryczne wchodzą w tej sprawie w grę.

KOMISJA EUROPEJSKA OD LAT NIE JEST JUŻ GRUPĄ URZĘDNIKÓW-SPECJALISTÓW, A CZYMŚ W RODZAJU UNIJNEGO SUPERRZĄDU.

Od dawna już zresztą wybór komisarzy tak naprawdę nie ma nic wspólnego z merytoryką. Niegdyś komisarzami zostawali przede wszystkim doświadczeni urzędnicy, desygnowani do konkretnych zadań. Obecnie komisarze bardziej przypominają krajowych ministrów i na te stanowiska kierowani są przede wszystkim doświadczeni politycy – bardzo często teka komisarza traktowana jest jako pewnego rodzaju nagroda czy też zwieńczenie dotychczasowej kariery politycznej.

Unijne zmiany

Dlaczego tak się stało? Odpowiedzią są założenia Traktatu Lizbońskiego z 2009 roku. Przed tą datą komisarze byli przede wszystkim doświadczonymi urzędnikami najwyższego szczebla. To się jednak zmieniło. W ustępującej Komisji Europejskiej komisarzy z doświadczeniem urzędniczym było zaledwie czterech: Margaritis Schinas z Grecji, Maroš Šefčovič ze Słowacji, Janez Lenarčič ze Słowenii oraz Olivér Várhelyi z Węgier.

Pomijając zmiany wynikające z traktatów oraz tego, w jaki sposób zmienia się Komisja Europejska wraz z jej rosnącą rolą (a warto wspomnieć, że proponowana zmiana unijnych traktatów centralizująca UE miałaby jeszcze mocniej wzmocnić jej kompetencje), to wybór komisarzy jest także warunkowany przez wymogi związane z lewicowymi standardami dominującymi w Unii Europejskiej. I tak Ursula von der Leyen chce, aby w podziale tek komisarzy zachowane zostały parytety płci,

eprasa.pl 2b805fee98

i zarekomendowała, żeby każde z państw członkowskich złożyło po dwie kandydatury na komisarzy (po jednym z każdej płci). Problem polega jednak na tym, że państwa członkowskie nie bardzo przejęły się tymi oczekiwaniami. Łącznie zgłoszono dotychczas 13 kandydatów, po jednym z każdego kraju, wliczając w to zaakceptowane już osoby Ursuli von der Leyen i Kai Kallas. Na liście tej znalazło się ośmiu mężczyzn i pięć kobiet, w tym dwie, które zostały już wcześniej zaakceptowane na kluczowe stanowiska.

Same desperackie próby zachowania parytetów w Komisji Europejskiej wydają się absurdalne z dwóch względów. Po pierwsze – wcale nie są one potrzebne, bo kobiety fantastycznie radzą sobie w unijnej polityce bez żadnych propagandowych ułatwień, o czym świadczy chociażby to, że dwa najważniejsze stanowiska w Komisji Europejskiej zostały zajęte właśnie przez kobiety. Po drugie – dlaczego lewicowa Unia Europejska walczy o parytety tylko dla dwóch płci, zupełnie ignorując istnienie – przyjmując ich narrację – chociażby osób niebinarnych? Jak tego typu osoby mają się do unijnych parytetów?

Nadrząd

Sama Komisja Europejska jest instytucją co najmniej kontrowersyjną z uwagi na jej rosnącą władzę i brak demokratycznego mandatu. Dlaczego? Dlatego że komisarze wskazywani są przez rządy państw, a następnie są akceptowani przez Parlament Europejski, co w zasadzie jest formalnością. Nie są oni wybierani w żadnych powszechnych wyborach, podobnie zresztą jak sama przewodnicząca komisji. A mimo to zakres ich władzy jest bardzo duży i cały czas rośnie. Komisja Europejska odpowiada m.in. za przygotowanie rocznego budżetu Unii Europejskiej, nadzoruje sposób wydatkowania unijnych środków, jest odpowiedzialna za pilnowanie „właściwego stosowania" przepisów unijnych we wszystkich państwach członkowskich oraz pełni funkcję reprezentatywną Unii Europejskiej na arenie międzynarodowej, odpowiadając także za negocjacje umów międzynarodowych. De facto jest ona unijnym nadrządem.

NAZWISKA UNIJNYCH KOMISARZY POZNAMY DOPIERO PO WAKACJACH.

POLITYCZNE UKŁADANKI SĄ WAŻNIEJSZE PRZY WYBORZE UNIJNYCH KOMISARZY NIŻ UMIEJĘTNOŚCI I WIEDZA POSZCZEGÓLNYCH KANDYDATÓW.

Co z polskim komisarzem?

Nie wiadomo na razie, kto będzie kandydatem Polski na komisarza, czy będzie to jeden kandydat, czy dwóch różnej płci, jak wymaga tego Komisja Europejska. W przestrzeni medialnej pojawiają się przeróżne nazwiska. Wymieniani byli m. in. minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski, ambasador Polski przy Unii Europejskiej Piotr Serafin, a nawet – co raczej należy traktować w kategorii politycznego SF – prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski czy marszałek Sejmu Szymon Hołownia. Nie zanosi się jednak, aby w najbliższym czasie kandydat został ogłoszony.

Europoseł Arkadiusz Mularczyk zapytany o to, kiedy według niego uformuje się Komisja Europejska, nie potrafił wskazać konkretnej daty. Zwrócił uwagę, że problemem prawdopodobnie jest okres wakacyjny. – Nie posiadam informacji na temat tego, która teka komisarza może trafić do Polaka. Wydaje się, że taka prawdziwa giełda potencjalnych komisarzy i tek, które im przypadną, ruszy dopiero po wakacjach – powiedział.

– W całej tej sprawie mamy do czynienia z brakiem transparentności. Nic nie jest znane, wszystko to jest wynik jakichś targów politycznych związanych z wyborem Ursuli von der Leyen – zaznaczył.

Polityk odniósł się także do kwestii wymogów zachowania parytetów w obsadzie komisarzy. – To jest po prostu konsekwencja polityki prowadzonej przez unijne instytucje. Ona objęła nie tylko funkcje w Parlamencie Europejskim, w Komisji Europejskiej, ale komisarzy. Moim zdaniem to kompetencje, a nie płeć powinny być najważniejsze, ale niestety takie są zasady – dodał.

eprasa.pl 2b805fee98

Wojna o lit, wojna o wszystko

Od wielu miesięcy społeczeństwo Serbii nie ustaje w protestach przeciwko zbudowaniu w malowniczej dolinie Jadar kopalni litu. Nazywany przez serbskich przedsiębiorców oraz kręgi rządowe „srebrnym złotem" lit jest dzisiaj jednym z **najważniejszych** metali na świecie. To podstawa akumulatorów i baterii wykorzystywanych w samochodach elektrycznych, jest również stosowany w produkcji wyjątkowo wytrzymałych stopów używanych w lotnictwie i przemyśle zbrojeniowym. To w końcu również część technologii wykorzystywanej w produkcji szkła i ceramiki żaroodpornej.

Wojciech Kulecki

Serbowie mieli szczęście – lub pecha, jak skandują podczas protestów mieszkańcy doliny Jadar – zbudować kraj na największych w Europie złożach tego metalu. Dzisiaj to złoża, którymi zainteresowani są Włosi i Niemcy, a z nimi cała Unia Europejska, i które chce wydobywać australijsko-brytyjski wydobywczy gigant Rio Tinto lub jedna z wielu państwowych firm wydobywczych z Chin, jeżeli zachodni koncern nie poradziłby sobie z przekonaniem serbskiego establishmentu. Jednak otwarcie kopalni, zaplanowane już przez władze i Komisję Europejską na 2028 rok, wcale nie jest tak oczywiste.

Potencjalna korupcja?

Kiedy większość europejskich krajów cierpiała w związku z kolejnymi rekordami ciepła padającymi tego lata, serbskie media skupione są dzisiaj na zupełnie innych sprawach. W ostatnią niedzielę lipca kilkaset osób protestowało przeciwko budowie planowanej przez Rio Tinto i unijną administrację kopalni na zachodzie Serbii. I choć lokalni mieszkańcy niewielkiego miasteczka Bogatić stawiają warunki koncernowi wydobywczemu – chodzi o bezprecedensowe spełnienie wyśrubowanych i niemożliwych do spełnienia warunków ochrony środowiska, warunków niemożliwych, o czym doskonale wiedzą technolodzy pozyskiwania litu oraz urzędnicy w Brukseli – wiedzą, że wydobycie tego metalu może się odbywać wyłącznie z zastosowaniem technologii doszczętnie dewastujących naturę i krajobraz.

Plan przestrzenny kopalni obejmuje 2030 hektarów, w tym 22 wsie w rejonie Loznicy i Krupanj. Rząd go już zatwierdził, choć przeciwnicy inwestycji zwracają uwagę, że stało się tak „pomimo braku długoterminowego planu eksploatacji litu oraz oszacowania zasobów złoża rudy, na podstawie których można by ocenić rzeczywiste oddziaływanie kopalni na życie i środowisko". Nie tylko to –wiele umów pomiędzy rządem serbskim a Rio Tinto nie zostało upublicznionych, nawet po tym, jak obywatele starali się o to na drodze prawnej. Wskazuje to – zdaniem protestujących – na poważny brak transparencji i „potencjalną korupcję władz".

Nie pierwsze podejście

Wcześniej niemal codziennie podobne protesty odbywały się w całym regionie. W zachodnioserbskim Valjevie pojawiło się kilka tysięcy osób z miasta i okolic – większość z nich była już zaprawiona w publicznych protestach w tej sprawie. Już raz groźbę budowy kopalni udało im się zażegnać.

Dwa lata temu rozpoczęcie wydobycia litu było równie bliskie, ale rząd i prezydent Aleksandar Vučić przestraszył się protestujących i możliwej przegranej w wyborach. Zrobił krok do tyłu, chociaż wcześniej wiele zdążył już obiecać europejskim koncernom – przede wszystkim niemieckim i włoskim producentom samochodów, dla których pozyskiwanie litu z Europy oznacza powrót do konkurencyjności

Bryłki litu pokryte cienką czarną warstwą tlenków

Fot. Wikimedia Commons

eprasa.pl 2b805fee98

i możliwość rozwijania rynku aut elektrycznych budowanych na Starym Kontynencie. Na razie włoskie i niemieckie firmy rynku automotive muszą sprowadzać metal z Chin – na warunkach Pekinu i po cenach, które gwarantują, że europejskie samochody zawsze będą przegrywać konkurencję z ich chińskimi odpowiednikami wchodzącymi na zachodnie rynki.

Gra Europejczyków warta jest każdego ustępstwa i każdych pieniędzy, pewnie wręczanych również serbskim politykom, którzy choć jeszcze dwa lata temu chętnie ustąpili protestującym, dzisiaj wydają się nieprzejednanymi zwolennikami kopalni. W końcu to właśnie im zależało na zorganizowaniu 19 lipca w Belgradzie szczytu Serbia – Unia Europejska, na którym pojawił się również dotychczas niechętnie widziany w Belgradzie przywódca Niemiec Olaf Scholz, a razem z nim przedstawiciele Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju, Włoskiego Banku Rozwoju, koncernu Mercedes-Benz i wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej Marosz Szefczovicz.

Niemieckojęzycznym mediom nie podobała się ta wizyta – wszak Vučić jest postrzegany w Europie Zachodniej jako autokrata co najmniej blisko współpracujący z Władimirem Putinem. „Scholz jest gotowy rzucić się w objęcia autokraty, by zdobyć ważny surowiec" – podsumował za niemieckimi mediami austriacki „Standard".

W drodze do Europy

Tym razem Scholza przyjęto w Belgradzie ciepło i z honorami, a spotkanie na szczycie skończyło się podpisaniem protokołu ustaleń między Brukselą a Serbią w sprawie „strategicznego partnerstwa na rzecz zrównoważonych surowców, łańcuchów produkcji akumulatorów i pojazdów elektrycznych". Serbowie nie lubią Niemców – nie tylko ich zresztą. To m.in. oni wzięli udział w bombardowaniu Belgradu w 1999 roku (po rozpadzie Jugosławii, który doprowadził do wybuchu wojny na Bałkanach), które pośrednio zakończyło czystki etniczne w Kosowie. Czystki, za które serbscy dowódcy jako pierwsi od procesów norymberskich obywatele europejskiego państwa odpowiadali za ludobójstwo. Serbowie do dzisiaj pamiętają – przede wszystkim Niemcom – bombardowanie ich stolicy i późniejszą kapitulację. Niemcy stoją także za przedłużającym się od dekad procesem akcesyjnym Serbii do Unii Europejskiej. Belgrad formalnie wystąpił o członkostwo w EU w 2009 roku, ale status kraju kandydującego Serbia otrzymała dopiero po trzech latach, same negocjacje zaczęły się 10 lat temu i wciąż są daleko od zakończenia. Czy przyspieszą i zakończą się najpóźniej za rok w związku z możliwością otwarcia w tym kraju największej na kontynencie kopalni litu? To jedna z nieformalnych unijnych gwarancji, którą z chęcią przyjął prezydent Serbii Aleksandar Vučić.

Podczas serbsko-unijnego szczytu Vučić podkreślał, że „eksploatacja litu nie będzie możliwa bez pełnej ochrony środowiska i ludzi", ale kilka godzin później zapewniał rodaków, że „otrzymał od UE gwarancje, że projekt wydobycia metalu będzie realizowany zgodnie z najwyższymi standardami". Dzień wcześniej rząd w Belgradzie przekonywał obywateli, że partnerstwo na rzecz zrównoważonych surowców to jeszcze jeden plus dla ich kraju – przyczyni się do dekarbonizacji energii zgodnie z Europejskim Zielonym Ładem i Zieloną Agendą dla Bałkanów Zachodnich. „Współpraca przyspieszy proces akcesji kraju do UE" – poinformował rząd po spotkaniu.

W tych planach Vučicia bardzo wspiera inny prezydent. Chodzi o Milorada Dodika, prezydenta Republiki Serbskiej. Choć nazwa może być myląca, chodzi o inny kraj, część Federacji Bośni i Hercegowiny i Republiki Serbskiej, która już od kilku lat poważnie myśli o secesji od Bośni i Hercegowiny i przyłączeniu się do Serbii, czego dotychczas zrobić nie mogła w związku z ustaleniami pokojowymi kończącymi wojnę na Bałkanach.

Dodik namawia rodaków z zachodniej Serbii, żeby zdecydowali się na kopalnię litu – w innym wypadku on zbuduje taką u siebie. Złoża ma może mniejsze, ale... może kiedyś da się to wydobycie połączyć. W końcu kopalnie litu uczyniłyby z Serbii – obu Serbii, a w przyszłości niemal na pewno znowu połączonego kraju – być może nawet europejski Kuwejt.

WYDOBYCIE LITU MOŻE SIĘ ODBYWAĆ WYŁĄCZNIE Z ZASTOSOWANIEM TECHNOLOGII DOSZCZĘTNIE DEWASTUJĄCYCH NATURĘ I KRAJOBRAZ.

Kwas zamiast rzeki

Marzenia serbskich prezydentów nie są pozbawione realnych podstaw. Tylko zachodnia Serbia ma złoża metalu, które są w stanie pokryć obecne zapotrzebowanie na lit całej Europy – wszystkich producentów, do czegokolwiek lit nie byłby im potrzebny. Na sukcesie zależy również koncernowi Rio Tinto, który ma gigantyczny udział w światowych kopalniach, ale akurat w tym

eprasa.pl 2b805fee98

przypadku mógłby stać się wiodącym producentem tego surowca. Zdaniem analityków firmy dolina Jadar posiada 1,3% światowych złóż litu, których wartość na dzisiaj wynosi 4 mld euro. Dzięki nim można produkować 58 tys. ton metalu rocznie. A roczna produkcja wystarczy do zasilania 1,1 miliona pojazdów elektrycznych.

Być może serbski projekt poprawiłby również postrzeganie samej marki w świecie, bo dzisiaj nie cieszy się ona szczególnym zaufaniem mieszkańców regionów, w których koncern prowadził wydobycie. Rio Tinto działa na organizacje ekologiczne jak przysłowiowa płachta na byka. Koncern wielokrotnie udowadniał już, że na pierwszym miejscu liczy się dla niego wydobycie i zysk. Środowisko i krajobraz to sprawy w strategiach firmy pomijane całkowicie.

Do dzisiaj Australijczyków bulwersuje sprawa wysadzenia w powietrze przez Rio Tinto dwóch jaskiń Juukan Gorge, razem ze śladami ludzkiej bytności sprzed 46 tys. lat. Wciąż trwające śledztwo wykazało, że koncern otrzymał rządową zgodę także na zniszczenie kolejnych 124 historycznych miejsc Aborygenów. Wszystkie one położone są w promieniu nie większym niż 100 kilometrów od zniszczonych jaskiń Juukan Gorge. Koncern wysadził je, żeby zyskać dostęp do wartych 135 mln dolarów złóż rudy żelaza. Aborygeni do dzisiaj protestują w obronie miejsc ważnych dla ich kultury, które mogą stanąć na drodze inwestycyjnym planom Rio Tinto.

Właśnie takiego podejścia boją się Serbowie. Dzisiaj każdy uczeń podstawówki w zachodniej części kraju wie, że proces wydzielenia chemicznie stabilnego litu z jadarytu wymaga użycia stężonego kwasu siarkowego. Prowadzony 20 kilometrów od koryta rzeki Driny proces będzie zużywać 300 metrów sześciennych wody na godzinę. Poddana działaniu związków chemicznych woda będzie następnie wypompowywana do rzeki Jadar. Wylew nieuchronnie skażonej wody, a także przesiąkanie arszeniku, rtęci i ołowiu do wód gruntowych, zanieczyści całe zlewiska rzek. „Brudna ciecz będzie płynąć po całej dolinie, do rzek Driny i Savy, a stamtąd rozejdzie się nie tylko po Serbii, lecz także trafi do źródeł wody pitnej w innych krajach" – piszą w petycjach ekolodzy, w tym również członkowie dwóch radykalnych organizacji – Earth First! i Greenpeace. Jednak i bez ich ostrzeżeń mieszkańcy Zachodniej Serbii wiedzą, że kiedy powstaną kopalnie, z żyznej i malowniczej Doliny Jadar nie zostanie nic.

Lit polityczny

Rząd przekonuje mieszkańców, że Unia Europejska zagwarantuje przestrzeganie najbardziej wyśrubowanych norm ochrony środowiska, jednak unika przeprowadzenia referendum w tej sprawie. Dotychczas zorganizowany przez opozycyjną Nową Serbską Myśl Polityczną sondaż wykazał, że ponad połowa (55,5%) mieszkańców całego kraju zdecydowanie sprzeciwia się tej inwestycji. Nawet jeżeli na stole rzeczywiście pojawiłyby się gwarancje środowiskowe ze strony Unii Europejskiej, ale również Niemiec. W takim scenariuszu wydobycie litu poparłoby niespełna 34% obywateli kraju. Przy czym mówimy o sondażu poprzedzonym gigantyczną kampanią promocyjną na rzecz budowy kopalni.

Dyrektor Nowej Serbskiej Myśli Politycznej Dziordzie Vukadinović zauważa, że kampania miała przekonać niezdecydowanych, i że faktycznie oznacza ona porażkę obozu prezydenta – tylko 8% niezdecydowanych deklaruje, że po uzyskaniu gwarancji unijnych i niemieckich byłaby skłonna zgodzić się na budowę kopalni.

Przeciwko inwestycji są dzisiaj wszystkie – poza rządzącą Serbską Partią Postępową – siły polityczne w Belgradzie. Wiceprzewodnicząca opozycyjnej Partii Wolności i Sprawiedliwości Marinika Tepić domaga się – dla bezpieczeństwa Serbów – zorganizowania nadzwyczajnych wyborów parlamentarnych, a prawicowy ruch Dveri, grając na niebezpiecznej w kraju nucie, ogłasza, że podpisanie protokołu ustaleń w sprawie strategicznego partnerstwa w dziedzinie zrównoważonych surowców jest jedynie spełnianiem „żądań kolonialnych". Dveri również domaga się nowych wyborów.

Ale prawdę mówiąc, rządząca proprezydencka Serbska Partia Postępowa znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Zgoda na kopalnię została dogadana już dawno, a wycofanie się z niej oznacza milionowe kary i awanturę w wewnętrznej polityce kraju, być może wywołaną skandalami, w które uwikłali się politycy. Rio Tinto, spółka notowana na giełdach papierów wartościowych, zdążyła już poinformować świat, że otrzymała koncesję na wydobycie litu w Serbii, co nie pozostało bez echa wśród inwestorów. Krok do tyłu oznaczałby wymierne straty, które pokryć musiałby serbski rząd. Dlatego żadna ze stron nie będzie chciała ustąpić – w tej grze przegrany może stracić wszystko.

TYLKO ZACHODNIA SERBIA MA ZŁOŻA METALU, KTÓRE SĄ W STANIE POKRYĆ ZAPOTRZEBOWANIE NA LIT CAŁEJ EUROPY.

eprasa.pl 2b805fee98

ŚWIAT WEDŁUG CHODAKIEWICZA

Mechanizmy dżihadu

Marek Jan Chodakiewicz

Zanim zjawili się wojskowi niewolnicy, w zniewoleniu dla islamu wielkiej połaci wtedy znanego świata brali udział nie tylko Arabowie-muzułmanie, ale również arabscy poganie i chrześcijanie, co podkreśla Robert G. Hoyland w publikacji „In God's Path: The Arab Conquest and the Creation of the Islamic Empire" [Śladem Boga: Arabski podbój i powstanie Imperium Islamskiego] (New York, NY: Oxford University Press, 2015). Jak argumentował autor: „Przewaga liczebna nie pomogłaby zachodnim Arabom, gdyby nie mieli oni również dobrej organizacji, i tutaj właśnie ujawnia się islam. Nowocześni naukowcy mają tendencję podkreślać żarliwość płynącą z tej religii, ale ważniejszy jest czysty motyw i plan akcji, który z niej wynikał: emigrować do garnizonu i walczyć śladami Allaha (hidżra i dżihad) przeciw wrogom islamu" (s. 96).

Armie islamu były więc heterodoksyjne, co pomagało w stosowaniu elastycznej taktyki w stosunku do podbitych ludów. Tempo podboju odzwierciedlało system wojskowy jego uczestników: beduińskich koczowników oraz arabskiej konnicy pomocniczej, która porzuciła służbę w wojskach bizantyjskich, aby dołączyć do rabunków dżihadystów. Zresztą pogranicze imperium było rabowane jeszcze przed islamem, a muzułmańskie inwazje po prostu wpisały się w istniejącą rzeczywistość, potęgując powoli przemoc. Hoyland upiera się, że w pewnym sensie Arabowie nie mieli żadnej wielkiej strategii. Ograniczone sukcesy osiągali dzięki napadom łupieżczym. A te z kolei zachęcały do dalszych ataków i podbojów. Jednak z drugiej strony islam dostarczał strategię podboju: „emigracja do garnizonu i walka śladami Allaha". Naturalnie „emigracja" (hidżra), tworzenie bazy oraz dżihad to naśladowanie Mahometa. A kluczem do utrwalenia władzy nowych panów była kooptacja podbitych za pomocą zwolnienia od płacenia podatków za cenę konwersji na mahometanizm.

> ARMIE ISLAMU BYŁY HETERODOKSYJNE, CO POMAGAŁO W STOSOWANIU ELASTYCZNEJ TAKTYKI W STOSUNKU DO PODBITYCH LUDÓW.

Umiarkowany liberalny dziejopisarz Hugh Kennedy w „The Great Arab Conquests: How the Spread of Islam Changed the World" [Wielki arabski podbój: Jak szerzenie się islamu zmieniło świat] (New York: DaCapo Press) widzi wielki sukces arabskiego podboju jako wynik dylematu „być albo nie być". Autor ukazuje zapaść demograficzną imperiów cywilizowanych oraz wielki wpływ wojen bizantyjsko-perskich i szerzących się epidemii na podminowanie starego systemu międzynarodowego na Bliskim Wschodzie. Po śmierci Mahometa jego spadkobiercy podjęli w sposób zupełnie świadomy decyzję, aby postawić na ekspansję. Alternatywą był albo atak, albo upadek projektu islamu. Podbój był błyskawiczny, a proces okupacji przebiegał „pokojowo", jak twierdzi ten historyk. Podbici w większości przystosowali się dość szybko i przyłączyli do zdobywców.

Autor nie mówi, że prześladowano, dyskryminowano, terroryzowano oraz opodatkowano niewiernych, aby wymusić konformizm. Według niego po prostu przejście na islam było dla ofiar bardziej atrakcyjne niż pozostawanie wiernymi chrześcijańskiej religii i tradycji.

Kennedy pisze tak: „Na wiele sposobów zaakceptowanie władzy

eprasa.pl 2b805fee98

muzułmańskiej było rezultatem mahometańskiej polityki wobec wroga: prawie zawsze preferowano poddanie się najeźdźcom i ułożenie się z nimi oraz płacenie podatków niż bronienie się do końca. Nie dochodziłoby do islamizacji i arabizacji, które następowały po podboju przez dwa czy trzy wieki, gdyby podbój polityczny się nie udał, ale one nie były bezpośrednią i nieuniknioną konsekwencją podboju. Zamiast tego stopniowo i prawie całkowicie pokojowo coraz więcej ludzi chciało się identyfikować z dominującą kulturą swoich czasów i w niej uczestniczyć" (s. 376).

Osobno Kennedy stara się opisywać raczej w wyważony sposób muzułmańską okupację Iberii (Andaluzji), chociaż krytycznie podchodzi głównie do strony chrześcijańskiej. Zob. Hugh Kennedy, „Muslim Spain and Portugal: Political History of Al-Andalus" (London and New York: Routledge, 1996). Notabene Richard Burton twierdzi, że etymologia tego słowa pochodzi od „ziemia Wandali" (Vandal-land) – al-Aldalus. Zob. „The Arabian Nights: Tales from a Thousand and One Nights" [Księga tysiąca i jednej nocy], tłum. Sir Richard F. Burton (New York: The Modern Library, 2004, s. 981, n. 23).

W każdym razie samobójczymi piewcami islamskiego jarzma w Hiszpanii i Portugalii jako ziszczenia ideałów multikulturalizmu są lewicowcy: María Rosa Menocal, „The Ornament of the World: How Muslems, Jews, and Christians Created a Culture of Tolerance in Medieval Spain" [Ornament świata: Jak muzułmanie, żydzi i chrześcijanie stworzyli kulturę tolerancji w średniowiecznej Hiszpanii] (New York: Little, Brown, and Company, 2002); oraz Chris Lowney, „A Vanished World: Muslims, Christians, and Jews in Medieval Spain" [Świat, który zniknął: Muzułmanie, chrześcijanie i żydzi w średniowiecznej Hiszpanii] (Oxford and New York: Oxford University Press, 2005).

Jest to obecnie dominująca narracja akademicka i kulturowa na Zachodzie. Taką fałszywą wizją upajał się nie tylko postępowy amerykański prezydent Barack Obama, ale – sto lat wcześniej – kalwinista i konserwatywny premier Holandii Abraham Kuyper, „On Islam" (Bellingham, WA: Lexham Press and Acton Institute for the Study of Religion and Liberty, 2017), s. 273–274. Pisał on, że „dominacja Arabów i Maurów w Hiszpanii, która zaczęła się w roku 710, a skończyła tylko w 1492 r. po upadku Granady, była bez wątpienia błogosławieństwem dla Hiszpanii na wiele sposobów. W tym sensie jest to podobne do panowania rzymskiego, które utrzymywało się od 180 przed Chrystusem do 466 A.D." (s. 273); Kuyper pisał też fałszywie, że „powszechna tolerancja stanowiła regułę" (s. 274).

Antidotum na taką politycznie poprawną narrację jest wyśmienity katolicki konserwatysta Darío Fernández-Morera, który obnaża prześladowanie i martyrologię chrześcijan pod butem islamu w publikacji „The Myth of the Andalusian Paradise: Muslims, Christians, and Jews under Islamic Rule in Medieval Spain" [Mit andaluzyjskiego raju: Muzułmanie, chrześcijanie i żydzi pod rządami islamskimi w średniowiecznej Hiszpanii] (Willmington, DE: ISI Press, 2016). Bardziej wstrzemięźliwy w swoich konkluzjach, choć podobnie realistyczny, jest Brian A. Catlos w „Kingdom of Faith: A New History of Islamic Spain [Królestwo wiary: Nowa historia islamskiej Hiszpanii] (New York: Basic Books, 2018), który podkreśla obecność zarówno konfliktu, jak i kooperacji między islamem i chrześcijaństwem w Andaluzji.

Ale chrześcijanie również przeciwstawiali się zalewowi mahometańskiemu, a nawet sięgali znów po swoje, co opisuje Joseph F. O'Callaghan w „Reconquest and Crusade in Medieval Spain" [Rekonkwista i krucjata w średniowiecznej Hiszpanii] (Philadelphia, PA: University of Pennsylvania Press, 2003); oraz Joseph F. O'Callaghan, „A History of Medieval Spain" [Historia średniowiecznej Hiszpanii] (Ithaca, NY: Cornell University Press, 1975). Powoli następowała rekonkwista. Odbicie Iberii z rąk islamskich było właściwie jedyną zwycięską krucjatą w historii, czego nie doceniamy, ponieważ kontrofensywa chrześcijan zajęła dosłownie setki lat.

Cdn.

Waszyngton, DC, 29 lipca br.

PO ŚMIERCI MAHOMETA JEGO SPADKOBIERCY PODJĘLI W SPOSÓB ZUPEŁNIE ŚWIADOMY DECYZJĘ, ABY POSTAWIĆ NA EKSPANSJĘ. ALTERNATYWĄ BYŁ ALBO ATAK, ALBO UPADEK PROJEKTU ISLAMU.

eprasa.pl 2b805fee98

KULTURA

Czytaj też:
Co się mieści w głowie 52

Jestem zwykłą BABĄ

– Muzyka jest dla mnie uzewnętrznieniem się. Na scenie pokazuję emocje zaczerpnięte z moich doświadczeń. Muzyka daje mi dużo radości. Cieszę się, że w trakcie występowania na scenie mogę wchodzić w interakcje z ludźmi – mówi **Magda Zguda**, wokalistka, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

eprasa.pl 2b805fee98

Magda Zguda powraca do fanów po dłuższej przerwie z nowym singlem, który powstał we współpracy z Tomkiem Lubertem. „Oceany" to wakacyjny utwór w rytmach latino wyrażający **silne emocje** związane z rozstaniem, odwagę w obliczu zmian i nowych początków. Singiel ma nieść ze sobą pozytywną energię, którą po trudnych doświadczeniach artystka chce dzielić się ze słuchaczami.

ŚPIEWANIE W WYSOKICH REJESTRACH WOKALNYCH JEST SPEKTAKULARNE.

Fot. materiały prasowe (2)

– Dlaczego postawiłaś na stylistkę latino? Idziesz za modą na takie brzmienia?

– Dobre pytanie na sam początek rozmowy. Trendy idą za mną, a nie ja za trendami. Moja miłość do latynoskich brzmień wzięła się z tańca. Taniec towarzyski był ze mną od najmłodszych lat.

– Teraz też tańczysz?

– Obecnie niestety nie mam czasu na systematyczne treningi taneczne. Zdarza mi się zatańczyć na scenie w trakcie moich koncertów.

– Jak zaczęła się Twoja przygoda z muzyką?

– W zespole KTO TO, który grał mocne rockowe brzmienia. Później w moim życiu pojawił się Sumptuastic, który gra popową muzykę. Chociaż niektórzy mówili inaczej.

– Reprezentanci disco polo?

– No jasne! Nawet występowaliśmy na galach disco polo. Było na nich mnóstwo osób, dlatego żal było nie korzystać z tych zaproszeń.

– I jeszcze przy tej aktywności troje dzieci. Gratuluję!

– Dziękuję bardzo. Oliwier ma 15 lat, Antoni 11, a Julia ma 4 lata. Kiedy byłam w ostatniej ciąży, przeczuwałam, że będzie chłopiec, a tu niespodzianka.

– Jak utrzymać tak dobrą formę po trzech ciążach?

– To nie jest takie proste. Trzeba pilnować swojej diety i nie jeść bez umiaru. Poza tym uprawiam sport. Uwielbiam biegać.

– Nie myślałaś o galach freakfightowych?

– To byłby ciekawy pomysł. Systematycznie biegam po 10 kilometrów. To bardzo przydaje się na scenie. Lubię szaleć w trakcie koncertów, a do tego trzeba mieć dobrą kondycję.

– Skąd takie mocne uzewnętrznienie się w Twoim najnowszym utworze?

– Przez większą część życia nie robiłam tego, co mi grało w duszy. Słuchałam Natalii Oreiro i chciałam śpiewać tak jak ona. Ale z drugiej strony słuchałam Kalibru 44 i Paktofoniki. Najśmieszniejsze jest to, że moi chłopcy lubią te same rapowe składy, co ja.

– Życie dało Ci mocno w kość?

– Czy życie? Życie życiem, to my sami zgotowaliśmy sobie ten los. W trakcie mojego siedemnastoletniego związku małżeńskiego działo się dużo rzeczy. A byliśmy razem aż 21 lat. Bogumił jest wspaniałym człowiekiem. Mamy dobre, przyjacielskie relacje i dużo wspólnych rzeczy, jednak z biegiem czasu jest ich coraz mniej. Miałam olbrzymią potrzebę wyjaśnić to, co się działo w moim małżeństwie poprzez piosenkę.

– Jak Twój były mąż odniósł się do tego utworu?

– Bogumił zawsze mi towarzyszył przy tworzeniu moich utworów. Byłam zaskoczona, kiedy usłyszałam od męża, że moja najnowsza piosenka jest agresywna.

– Gdzie tu agresja?

– Też właśnie jej nie widzę ani nie słyszę. Ale w odbiorze Bogumiła taka była.

– Muzyk?

– Nie. Klimaty sportowe.

– No to nie ma co się przejmować.

– Nawet nie ma słuchu muzycznego i dobrze o tym wie. Może chodziło mu o tekst.

eprasa.pl 2b805fee98

– A kto go napisał?
– Jerzy Delwo, za co mu serdecznie dziękuję. Poznaliśmy się w zespole KTO TO. Mieliśmy okazję razem muzykować. Jurek, znając moją sytuację, popełnił taki tekst.

– Jak facet może dobrze zinterpretować stan emocjonalny kobiety za pośrednictwem tekstu piosenki?
– Jerzy jest moim przyjacielem. Dużo czasu spędziliśmy razem i dlatego moje życie było wspólnym życiem.

– To może zostanie Twoim mężem?
– To jest wspaniały człowiek, ale jest zajęty. Jakby usłyszał, że chcesz nas zeswatać, byłby szczerze rozbawiony [śmiech].

– Jak rozpoczęła się Twoja współpraca z Tomkiem Lubertem? Nie myślałaś o tym, żeby podrzucić mu pomysł reaktywacji Virgin, w którym zastąpiłabyś Dodę?
– [Śmiech] Pierwsze piosenki Virgin to były moje pierwsze lata zadurzenia w muzyce. Mieliśmy okazję poznać się z Tomkiem, gdy śpiewałam w Sumptuastic. Tomek napisał dla nas piosenkę. Kiedy moje życie zaczęło się urozmaicać pod koniec ubiegłego roku, pomyślałam, że napiszę do Tomka. Napisałam, że jeśli będzie szukał kogoś do nowego projektu, to żeby o mnie pamiętał. On natychmiast odpisał, żebym przyjeżdżała do Warszawy. I przyjechałam. Tomek zapytał mnie, co chciałabym robić i w jakiej stylistyce muzycznej czuję się obecnie najlepiej. Powiedziałam mu, że marzę od dzieciaka, by zrobić coś latino, ale mam obawę, że się to nie sprzeda. Nie wiedziałam, że latino jest modne, i poszliśmy w to. W związku z moją sytuacją życiową chciałam, żeby mój pierwszy solowy utwór nie był bardzo radosny, chociaż mam w sobie dużo entuzjazmu i chęci do życia. Chciałam, żeby był mocny i przede wszystkim mój. I taki jest.

– Czy masz coś, czego nie mają inne polskie wokalistki?
– Nie wiem, czy to zabrzmi dobrze, ale nie mam czegoś takiego.

Magda Zguda

wokalistka znana z zespołu Sumptuastic. Współpracowała z wieloma formacjami i przy niezliczonej ilości projektów. Teraz wiedziona chęcią dalszego rozwoju wydała pierwszy singiel solowy pod własnym nazwiskiem, wspierana przez znakomitego kompozytora, producenta muzycznego i muzyka Tomka Luberta.

Poza solową karierą otwiera Centra Rozwodowe na Dolnym Śląsku, gdzie przy współpracy wielu ekspertów kompleksowo wspierać będzie kobiety w życiowym projekcie zwanym „rozwód". Bez względu na okoliczności chce dawać im siłę i moc. Przypominać o wszystkich zasobach, którymi dysponują. Pomagać w odbudowywaniu poczucia własnej wartości. Ale przede wszystkim sprawiać, żeby nie czuły się w tym wszystkim samotne. Wspierać i pokazywać, że są sprawcze i dadzą sobie radę z całym światem, że koniec jest początkiem, a stracić wszystko – to wszystko zyskać.

– Życie to nie zawsze prosta droga, ale można z niego wyciągnąć wiele nauk. Co ważne, uczymy się najwięcej właśnie w obliczu trudności i kryzysów. Nie tylko o innych – głównie o sobie. Optymizm, pracowitość, wytrwałość, wiara w siebie i otwarcie na nowe możliwości pomagają stworzyć nową historię, która napawa optymizmem nie tylko nas samych, ale także innych ludzi wokół nas – mówi Magda.

– Jak to?
– Jestem starą babą z Legnicy [śmiech]. Muzyka jest dla mnie uzewnętrznieniem się. Na scenie pokazuję emocje zaczerpnięte z moich doświadczeń. Muzyka daje mi dużo radości. Cieszę się, że w trakcie występowania na scenie mogę wchodzić w interakcje z ludźmi. To jest bardzo cenne, kiedy po koncercie, stojąc przy bramkach, rozmawiasz z tymi osobami i jednocześnie rozdajesz autografy.

– Jaki masz stosunek po odejściu z Sumptuastic do największego hitu zespołu pt. „Kołysanka"?
– Piosenkę miło wspominam. Cieszę się, że mogłam ją śpiewać na koncertach, a ludzie przy moim wykonaniu bawili się świetnie. Poza tym słyszałam miliony wersji „Kołysanki". Niektóre są przepiękne, a niektóre mniej udane.

– Dlaczego przyjęło się w Polsce, że wyłącznie osoby śpiewające wysoko umieją śpiewać?
– Bo śpiewanie w wysokich rejestrach wokalnych jest bardziej spektakularne. Gdy w zespole coverowym śpiewałam „Dłoń" Natalii Kukulskiej i „Someone like you" Adele, to ludzie stawali nieruchomo i z dużą aprobatą podkreślali, że umiem śpiewać.

– Wrócę do singla. Dlaczego „Oceany"?
– Tytuł był moim pomysłem. Obecnie czuję się tak, jakbym dryfowała po oceanie.

– Czym się zajmujesz zawodowo poza muzyką?
– Z wykształcenia jestem pedagogiem, ale nigdy nie odważyłam się pracować w zawodzie. Później prowadziłam szkolenia dla różnych grup biznesowych. Obecnie otwieram centra rozwodowe.

– Mogłabyś wyjaśnić?

eprasa.pl 2b805fee98

– To są firmy wyłącznie dla kobiet. Moje doświadczenie życiowe i obserwacja ludzi przydaje się w tej działalności. Na rynku nie ma takich usług. Nawet ja, będąc zawsze w tłumie ludzi, otoczona wieloma najbliższymi przyjaciółmi, w sytuacji rozwodowej byłam sama. Mam na myśli nawet najbliższą rodzinę. Za tę sytuację musimy ponieść wysoką cenę. Mam tu na myśli dzieci, wspólne sprawy, które ciągnęły się latami. Afera była totalna. To był bardzo słaby czas. Rozstaliśmy się z mężem w sierpniu ubiegłego roku.

– Czyli to jest świeża sprawa?
– 13 maja bieżącego roku, w dniu czterdziestych urodzin mojego byłego męża, mieliśmy przyjemność się rozwieść. Dostał ode mnie wyjątkowy prezent [śmiech]. Sprawa rozwodowa trwała dwanaście minut i czterdzieści trzy sekundy.

– 21 wspólnych lat w niecałe 13 minut. Szybko!
– Prawda [śmiech]?

– Jak otworzyć człowieka na uzewnętrznienie się?
– Przede wszystkim trzeba kochać ludzi, a ja ich kocham.

– Dlaczego nie jesteś w głównym nurcie polskiej muzyki?
– Nie mam cech, które pomogłoby mi w tym, żebym była widoczna. Nie lubię taka być. Bardzo często słyszałam od wielu osób, że nie zrobię kariery.

– Jakie były argumenty tych osób?
– Nie powiem Ci tego wprost.

– Kiedy ujrzy światło dzienne Twój kolejny singiel?
– Już wkrótce. Cieszę się, że Tomek Lubert wciąż chce ze mną współpracować i tworzyć dla mnie nowe piosenki. Mamy bardzo dużo pomysłów, tylko pozostaje je nagrać i zrealizować. Z tego powodu jestem bardzo szczęśliwa.

– Nie myślałaś o tym, żeby nagrywać piosenki dla dzieci? Tomek jest już doświadczonym zawodnikiem w tej materii.
– Myślałam, myślałam. Miałam epizod sceniczny z Centrum Uśmiechu z Legnicy, które koncertuje dla dzieciaków. Paradowałam w przebraniu jagody na scenie. Dla mnie nie ma rzeczy niemożliwych. Pracuję również z młodzieżą w fundacji Marka Kamińskiego. Dbam o odporność psychiczną dzieciaków.

– Masz ADHD?
– Tak.

– Ja też. Nawet stwierdzone. Jak u Ciebie się ono objawia?
– Muszę się bardzo skoncentrować, żeby skończyć jakąś rzecz.

– A czy masz wewnętrznego narratora, który jest Twoją nawigacją, kalendarzem i który mówi Ci, co masz robić?
– Oczywiście, że tak.

– Witam w klubie.
– To mi pomaga. Tobie pewnie też?

– Zgadza się.
– Dzięki temu mam kontrolę nad wieloma obowiązkami, które wykonuję w moim życiu prywatnym i zawodowym.

Artystka zdobyła się na osobiste wyznanie, które – jak ma nadzieję – pomoże innym osobom w podobnej sytuacji:

– Gdy poznałam męża miałam 15 lat, on 19. Pobraliśmy się 4 lata później. Byliśmy młodzi, pełni marzeń, energii i planów na przyszłość. Najbliżsi nie zgadzali się na nasz związek, ale to tylko dodawało nam wytrwałości i determinacji. On był dla mnie całym światem. Nie wierzyłam w żadne słowo mogące zmazać jego idealny obraz w mojej głowie, które mówiono na jego temat... i tak było przez lata. 21 lat radości, smutków, sukcesów i porażek. Przez cały ten czas rozwijaliśmy się, uczyliśmy, jak radzić sobie z codziennymi problemami, wspierać się wzajemnie i zachować miłość w obliczu trudności. Mimo to z biegiem lat było nam coraz trudniej utrzymać związek. Praca, obowiązki, dzieci, różnice poglądów – to wszystko wpłynęło na naszą relację. W końcu wspólnie podjęliśmy trudną decyzję o rozwodzie, który dostaliśmy w Legnicy, 13 maja br. w 12 minut i 34 sekundy. Na trudny okres w moim życiu prywatnym nałożyły się również różne problemy w sferze zawodowej. Jakby cały świat na raz zwalił mi się na głowę. Ta kumulacja sprawiła, że znalazłam się na emocjonalnym dnie. Miałam myśli samobójcze i wrażenie, że każdy dzień przynosił wyłącznie nowe rozczarowania... Czułam, że życie nie ma dla mnie już nic dobrego. Byłam wyczerpana. Gdyby nie dzieci – odpuściłabym. Powtarzałam to sobie jak mantrę: dzieci potrzebują mamy. Nie było takiej opcji, żeby odpuścić, choć trudno wyobrazić sobie, jak bardzo chciałam. Świadomość bycia potrzebną i czas zadziałały, jak najlepszy lek... Dziś czuję, że to wszystko miało ogromny sens, mam w sobie coraz więcej radości, nadziei, entuzjazmu do życiowych wyzwań, czuję się zdrowsza... z nadzieją patrzę w przyszłość – opowiada artystka.

Najnowszy solowy singiel Magdy ma przypominać, że nawet w obliczu trudności i zmian można znaleźć nowe drogi do szczęścia. – Niech moja historia będzie dla odbiorców źródłem nadziei i inspiracji – dodaje.

eprasa.pl 2b805fee98

FILM

Co się mieści w głowie

Sezonami na filmy animowane, których głównym adresatem jest najmłodsze pokolenie, od lat są okres Bożego Narodzenia i letnie wakacje. Nic dziwnego, że właśnie na początku tegorocznego wolnego od szkoły do polskich kin weszło „W głowie się nie mieści 2", kontynuacja **bardzo wysoko ocenionego** mniej więcej przed dekadą dziełka Pete'a Doctera (w dodatku z przychodami na poziomie prawie 900 mln dolarów).

Paweł Gabryś-Kurowski

Tym razem za reżyserię wziął się Kelsey Mann (mający w animacji kilkanaście lat mniej praktyki), a jedną ze scenarzystek jest Meg LeFauve, główna autorka skryptu pierwszej części. Mann bez wątpienia jeszcze nie zdążył nabyć doświadczenia Doctera (współudział w tworzeniu trzech części „Toy Story", „WALL-E", „Dawno temu w trawie"), ale mniejsze doświadczenie może oznaczać mniej rutyny, więc po entuzjastycznie przyjętym i bez wątpienia wartościowym pod wieloma względami pierwszym filmie można było oczekiwać czegoś interesującego.

Tu czas na dygresję. Otóż wraz z rozwojem technik filmowych, głównie komputerowych, rozwój animacji gwałtownie przyspieszył. Dzieje się tak już od co najmniej ćwierćwiecza, więc o kinematografii animowanej da się napisać całe tomy. „Król Lew" z 1994 roku stanowił pewną cezurę, bo to wtedy obraz filmu animowanego zyskał głębię, trójwymiarowość i silniejsze wrażenie realizmu. „Król..." był jeszcze baśnią, niemal klasyczną, ale po nim kino animowane zaczęło ulegać coraz większemu zróżnicowaniu. Opowieści odnoszące się do popularnych zabawek, historie fascynujących młodego widza zwierząt – aż do dziełek autotematycznych, wręcz postmodernistycznych, których świadomym odbiorcą stał się dorosły, i to dorosły o niemałym obyciu filmowym i literackim, bo produkcje wielkich wytwórni obfitowały w rozmaite erudycyjne nawiązania.

A filmowych baśni, tych o klasycznej budowie, zaczęło brakować. I warto przypomnieć tu słowa wybitnego psychoanalityka i terapeuty Brunona Bettelheima z jego kanonicznego tomu „Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni" (cytuję na podstawie wydania WAB, Warszawa 1996):

„Jeśli chcemy w pełni świadomie przeżywać własną egzystencję, wówczas naszą największą potrzebą i najtrudniejszym zadaniem jest znalezienie jej sensu, [...] tego rodzaju znaczenie można odnaleźć w baśniach", gdyż „zawierają one symboliczne ujęcia podstawowych doświadczeń życiowych". „W głowie się nie mieści" Doctera bez wątpienia ten ostatni warunek spełniało – w sposób błyskotliwy i bardzo

Fot. kadr z filmu

odpowiedzialny, jeśli patrzeć na nie z perspektywy psychologicznej. Biorąc za bohaterkę małą Amerykankę, ukazywało pięć podstawowych uczuć człowieka (upersonifikowane Radość, Smutek, Lęk, Złość i Odraza), ich funkcjonowanie, a także koszty ich tłumienia. Czyniło to w sposób niezwykle pomysłowy, pełen fantazji i dowcipny, dając i dzieciom, i rodzicom możność poznania i zrozumienia samych siebie, a przede wszystkim pokazując drogi rozwiązań rozmaitych wewnętrznych i zewnętrznych konfliktów. Łączyło przyjemne z pożytecznym.

W zakończeniu filmu Doctera upersonifikowane uczucia zastanawiały się nad znaczeniem pewnego klawisza na „konsoli emocji" – opatrzonego napisem „puberty" (dojrzewanie). Można się było domyślić, że jeśli ktoś nakręci kontynuację „W głowie się nie mieści", będzie ona poświęcona właśnie dojrzewaniu.

Tak też się dzieje. Riley Anderson (Amy Poehler) nie jest już małą dziewczynką, lecz przeobraża się w panienkę, kobietkę, a jej rozwój nabiera impetu. Do znanych nam z pierwszej części pięciu uczuć dołączają, zresztą gwałtownie, Niepokój (częściej nazywany w żargonie młodzieżowym „Spiną"), Apatia, Nostalgia (wyglądająca wiekowo i wciąż wypędzana za drzwi), Wstyd, Zazdrość oraz Głęboki Mroczny Sekret. Główna bohaterka coraz bardziej angażuje się w swoją pasję sportową – grę w hokeja – i to z tą częścią jej życia wiąże się akcja filmu. Oraz – co warto dodać – z nastoletnimi przyjaźniami: z wypróbowanymi kumpelkami Grace i Bree, a także ze starszą od nich, odnoszącą już sukcesy w młodzieżowym sporcie Val Ortiz. Szansa osiągnięcia czegoś w sportowej pasji, nowe znajomości, potrzeba akceptacji w nieznanej dotąd grupie, dawne więzi – to wszystko jest pożywką dla nowych wyzwań, a także konfliktów. Spokoju nie będzie, a w głowie głównej bohaterki wręcz się zagotuje. Jak to z dojrzewającą nastolatką (lub nastolatkiem).

Jaki temat, taka i forma artystyczna. „W głowie się nie mieści 2" od pierwszych scen uderza widza podniesionymi głosami znanych nam z pierwszej części personifikacji uczuć, porywa szybkim tempem, nie daje odpocząć wzrokowi, wręcz atakując go wirem wyrazistych barw. Nie bez przyczyny Spina, najważniejsza bohaterka wśród nowych uczuć, przybrała kolor pomarańczowy. Mann i jego ekipa oddają w ten sposób gwałtowność emocji, ale i decyzji nastolatka, który właśnie zaczął podróż ku dorosłości, samodzielności i niezależności. Przyznam, że poziom głośności chwilami trochę mnie raził – rozumiem, że hałaśliwość zachowań upersonifikowanych emocji w intencji twórców miała odzwierciedlać hałaśliwość samych nastolatków, ale młodsze dzieci wcale nie zachowują się ciszej, a chwile ciszy w nowym „W głowie się nie mieści" naprawdę by się przydały. Bądź co bądź dojrzewający młody człowiek miewa okresy, gdy zamyka się w sobie, tłumiąc niektóre uczucia. Wyciszenia zwiększałyby wiarygodność ukazywanej historii.

FILM OD PIERWSZYCH SCEN UDERZA WIDZA PODNIESIONYMI GŁOSAMI ZNANYCH NAM Z PIERWSZEJ CZĘŚCI PERSONIFIKACJI UCZUĆ, PORYWA SZYBKIM TEMPEM, NIE DAJE ODPOCZĄĆ WZROKOWI, WRĘCZ ATAKUJĄC GO WIREM WYRAZISTYCH BARW.

Gdy mamy do czynienia z sequelem, trudno ustrzec się porównań. W przypadku „W głowie się nie mieści 2" nie wypada ono na korzyść. Powodów jest kilka. Po pierwsze, „Jedynka" zaskakiwała już samym tematem. Osnuta jest przecież wokół... lekcji psychologii, odwołującej się do koncepcji Paula Ekmana, o czym na ogół wspominali autorzy tekstów krytycznych poświęconych dziełku Doctera, ale także Antonia Damasio. Trzeba to podkreślić, że ogromną zasługą twórców było pokazanie dzieciom, młodzieży, ale i rodzicom, i – chciałbym wierzyć – zawodowym pedagogom mechanizmów ludzkich

uczuć, w tym rodzenia się stanów depresyjnych. W świecie, w którym depresja staje się cywilizacyjną plagą, zasługi te są nie do przecenienia. I część druga stanowi uzupełnienie tej wiedzy, koncentrując się na pewnych aspektach dojrzewania. Na pewno w tym leży jej wartość. Ale...

Oryginalność dziełka Petera Doctera polegała między innymi na tym, że większość akcji działa się w głowie Riley, podczas gdy u Manna sceny z życia głównej bohaterki, bardziej rozbudowane niż w pierwszym filmie, łączą się z prostymi alegoriami procesów emocjonalnych. I niestety ta akcja „zewnętrzna", gdy personifikacji uczuć na ekranie nie widzimy, mówiąc delikatnie, nie porywa. Więcej: razi schematyzmem, uproszczeniami, wręcz infantylizmem. Oczywiście, bohaterka wciąż dojrzewa, ale nie jest już małym dzieckiem i nie są nimi widzowie – dojrzewająca młodzież. Można odnieść wrażenie, że Mann adresuje swój film do tych młodszych. Odbiorców należałoby jednak traktować poważnie.

Pierwszy film wręcz olśniewał pomysłowością. Koncepty, które pozwalały mu ukazać ludzką psychikę, były niemal zawsze błyskotliwie inteligentne, czasami bardzo dowcipne, pełne finezji, czasem nawet poetyckości. Sequelowi tej finezji niemal całkowicie brak. Przyznaję z przykrością, że sposób, w jaki Mann i jego ekipa obrazują dojrzewanie, wydał mi się po prostu łopatologiczny – najpierw widzimy jakieś wydarzenie z życia Riley, a potem proste, alegoryczne ujęcie procesów emocjonalnych. Albo w odwrotnej kolejności. Warto dodać, że twórcy „Jedynki" nie bali się zwolnić tempa akcji, dozować je, potęgując napięcie, w ten sposób dając też widzowi chwile na refleksje. U Manna tempo pozostaje niezmiennie obłędne. Scenariusz filmu Doctera odznaczał się po prostu znacznie większą swobodą, nie tracąc przy tym precyzji i kompozycyjnego ładu. Był świetnie napisany, podczas gdy skrypt „Dwójki" jest najwyżej poprawny.

DZIEŁKU MANNA NIEMAL CAŁKOWICIE BRAK FINEZJI FILMU DOCTERA. SPOSÓB, W JAKI TWÓRCY OBRAZUJĄ DOJRZEWANIE, WYDAŁ MI SIĘ PO PROSTU ŁOPATOLOGICZNY.

Zakończenie „Jedynki" wyraźnie zapowiadało, że Riley zaczyna dojrzewać. Sygnałami były: wspomniany już przycisk „puberty", ale przede wszystkim pojawienie się po meczu hokeja rozczochranego chłopaka, z którym niemal zderza się główna bohaterka. W amerykańskim wydaniu DVD jednym z dodatków jest pięciominutowy filmik „Riley' First Date" (Pierwsza randka Riley), dość sympatyczny i zabawny. Konia z rzędem temu, kto wyjaśni, dlaczego kudłaty Jordan znika z życia dziewczynki. Przecież dojrzewanie to między innymi, a może przede wszystkim, rodzenie się pierwszej miłości. Czyżby twórcom scenariusza zabrakło pomysłów na opowiedzenie o niej? Jestem przekonany, że scenariusz osnuty wokół tego tematu, pod warunkiem, że byłby pomysłowy, dowcipny i po prostu mądry, miałby szanse porwać widza. Jak pisał wspomniany już Bruno Bettelheim: „Jeśli opowieść ma naprawdę przykuć uwagę dziecka, musi je zabawić i obudzić w nim ciekawość. Jeśli jednak ma wzbogacić jego życie, musi pobudzić jego wyobraźnię, pomóc dziecku w rozwijaniu inteligencji i porządkowaniu uczuć, musi mieć związek z jego lękami i dążeniami oraz umożliwić mu rozeznanie własnych trudności, a zarazem poddać sposoby rozwiązywania nękających je problemów". Wątpię, czy „W głowie się nie mieści 2" spełnia te warunki.

Jeden z moich znajomych po obejrzeniu filmu Manna określił go mianem „recyclingu", wprawdzie przyjemnego, ale niebudzącego zachwytu. Coś jest na rzeczy. Gdybym miał jak najzwięźlej opisać różnicę między wartościami obu filmów, powiedziałbym, że „W głowie się nie mieści" Doctera spełnia warunki prawdziwej baśni, podczas gdy film Manna to tylko, zręczny chwilami, miniwykład w popkulturowej, niezbyt oryginalnej oprawie. Szkoda...

„W GŁOWIE SIĘ NIE MIEŚCI" DOCTERA SPEŁNIA WARUNKI PRAWDZIWEJ BAŚNI, PODCZAS GDY FILM MANNA TO TYLKO, ZRĘCZNY CHWILAMI, MINIWYKŁAD W POPKULTUROWEJ, NIEZBYT ORYGINALNEJ OPRAWIE.

„W głowie się nie mieści 2"; reż. Kelsey Mann; wyst.: Amy Poehler, Diane Lane, Kyle McLachlan; USA 2024.

eprasa.pl 2b805fee98

MIX PŁYT

Bartosz Boruciak

KUBA KNAP, ŁYSONŻI – POBIERZ NAPISY
WYD. ALOHA ENTERTAINMENT

Surowy, rapowy przekaz wypełniający deficyt na treść w polskim rapie. Tak w dużym skrócie mógłbym opisać ten krążek. Raperzy odnajdują się w różnych stylistkach muzycznych, nie ograniczając się do klasycznych bitów. Łysonżi bardzo dużo zyskuje w duecie z Kubą Knapem, który jest w czołówce najpłodniejszych raperów w Polsce. W każdym wersie czuć, że panowie nic nie muszą, oni po prostu chcą. Hip-hop wylewa się zewsząd, pozostaje tylko „Pobrać napisy". Polecam!

BRODKA – WAWA
WYD. KAYAX

Tradycyjnie jak co roku przy współpracy z Muzeum Powstania Warszawskiego polscy artyści wspominają tragiczne wydarzenie, które ukształtowało stolicę Polski. Tym razem padło na Brodkę, której na płycie jest mało. Znane warszawskie szlagiery interpretują jazzmani i ich wykonania są najmocniejszym punktem wydawnictwa. Warto zwrócić uwagę na kawałek „Moja droga" z udziałem Hadesa, 1988 i gospodyni. Nie tylko fani rapu będą zadowoleni. Album traktuję jako ciekawostkę, której warto posłuchać ze względu na wybitnych instrumentalistów. Tyle i aż tyle.

PAT METHENY – MOONDIAL
WYD. BMG

Idealna płyta na uspokojenie skołatanych nerwów. Gitara Pata wprowadza nas w kojący i refleksyjny nastrój, w którym zwalniamy tempo i rozkoszujemy się muzyką. „Moondial" polecam jako idealną muzykę tła. W tym przypadku nie jest to krytyka. Chcecie zorganizować romantyczną kolację? Pat! Macie problem z doborem muzyki, kiedy Wasza rodzina przyjeżdża do domu i chcecie zabić niezręczną ciszę? Pat! Jak widać album ma wiele zastosowań, jest praktyczny i użyteczny, a to bardzo duży plus.

BASTILLE – „&" (AMPERSAND) PART ONE
WYD. UNIVERSAL

Kolejna płyta dla słuchaczy, którzy szukają wytchnienia w pędzącym pościgu zwanym życiem. Zespół Bastille odkłada wzmacniacze na bok i łapie akustyczne gitary. Dużo melodii na płycie wpada w ucho i nie trąci myszką. Szkoda, że to tylko czternaście minut muzyki, ale tytuł zdradza nam sekret, że pojawią się kolejne części. Dzięki takiej płycie zespół udowadnia, że nie tylko efekty dźwiękowe grają, a za kompozycjami stoją ludzie. Dobrze jest wrócić do korzeni, gdzie utwór zagrany wyłącznie na akustyku bronił się sam. Czekam na więcej. Polecam!

eprasa.pl 2b805fee98

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski

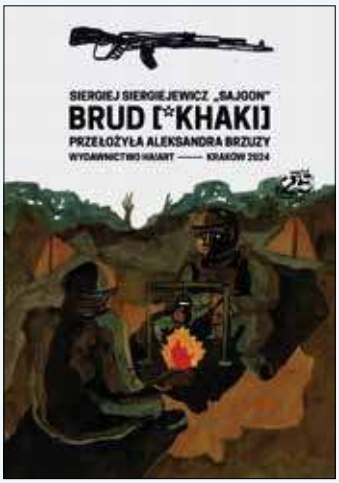

Krajobraz z błota, śniegu i wojny

Siergiej Siergiejewicz „Sajgon", „Brud [*Khaki]",
tłum. Aleksandra Brzuzy, Ha!art, Kraków 2024

„– Pójdę do granatnika – Wyrzucam peta pod samochód, bezwstydnie zaśmiecając krajobraz złożony z błota, śniegu i wojny, i przerzucam przez ramię pasek AKS-20, odwracam się i idę wąskim, krętym wąwozem w kierunku pozycji".

Ile razy zdarzało mi się już czytać taką prozę? O jej wartości przesądza nie dobór słów, nie proporcje, nie głębsza prawda o człowieku, objawiająca się po uważnej lekturze, lecz po prostu odwzorowanie jeden do jednego, jak przy dziecięcej zabawie w „przerysowywanie" wypukłej płaskorzeźby na rewersie monety. Tak wygląda współczesna wojna: poza śniegiem i śmiercią głównym przedmiotem troski jest zasięg, doładowanie komórki, odpowiedni zapas kawy instant, energetyków i zupek chińskich. Można by powiedzieć, że ten twist realiów to jakby odwrócenie różnych anachronicznych żartów: zwykle scenarzyści i powieściopisarze sprowadzają bohatera z przeszłości w nasze czasy, by ten, biedaczek, przerażał się na widok ekranu komputera i nie wiedział, jak wziąć prysznic. Okazuje się jednak, że w rzeczywistości „przesunięcie czasów" wygląda zupełnie inaczej: wojna XXI wieku, przynajmniej w pokomunistycznej części Europy, wygląda zupełnie tak samo jak w klasyce sprzed wieku (Erich Maria Remarque i „Na Zachodzie bez zmian"), sprzed trzech czwartych wieku (Hans Hellmut Kirst) i sprzed pół wieku („Czas apokalipsy" Francisa Forda Coppoli): brutalność, tony bluzgów, czarna krew z rany postrzałowej brzucha, godziny nudy, „koty" i „dziadki" – tyle że wzbogacone o e-papierosy, nowe rodzaje narkotyków i drony.

Dla badaczy literatury ciekawym zajęciem może się okazać wypreparowanie sylwetki „młodego (anty)bohatera nowoczesnej wojny wschodnioeuropejskiej: jaki ładunek goryczy niosą ze sobie bohaterowie „Sarajewskiego marlboro" (Jergović) i „Córeczki" (Tamara Duda)? Dla specjalistów od wojskowości – zestawienie broni, opisywanej w tej literaturze, niemal tak samo staroświeckiej: w „bośniackiej" prozie główną rolę grają kałasznikowy i miny przeciwpiechotne, u „Sajgona" tłumaczka nieźle się namęczyła, umieszczając u dołu kolejnych stron odnośniki tłumaczące, czym jest „szyszyga" (poazd ciężarowy GAZ-66), a czym PKM (sowiecki uniwersalny karabin maszynowy kal. 7,62). Dla nas, czytających „Brud" w Polsce, ta książka – ostentacyjnie niepatetyczna, zapis doświadczeń nawet nie ochotnika, a poborowego, odpierającego kacapów i „separów" – może być przestrogą. Albo przedsmakiem.

Kadry „Krisa"

Muzeum Warszawy: „Sylwester «Kris» Braun. Fotograf od powstania",
kurator Piotr Głogowski, 30 lipca – 29 grudnia 2024

Pióropusz eksplozji nad Prudentialem i chlapanie się w basenie przeciwpożarowym. Tragedia i życie codzienne Powstania.

Te kadry stanowią część naszej historii i „ikonosfery": znamy je od lat, widzimy je w książkach i na ulicznych plakatach. Muzeum Warszawy opowiedziało jednak ich powojenną historię i na nowo ułożyło je w opowieść.

Nasze wyobrażenia o przeszłości kształtowane są nie tylko, a może nawet nie przede wszystkim, przez edukację szkolną, wykłady i podcasty. W komunale, że „jeden obraz mówi więcej niż tysiąc słów" jest wiele prawdy, większość ludzi wymienia wzrok jako najważniejszy ze zmysłów, kilkumiesięczne niemowlę w otaczającej je mgle jako pierwsze zaczyna wyróżniać nie piłeczki, nie konika, lecz twarze. Dlatego nasz obraz historii bardzo często budowany jest w oparciu o pojedynczy kadr, karykaturę, kiepską reprodukcję: strach pomyśleć, jaka odpowiedzialność spoczywa na ilustratorach podręczników, na karykaturzystach i twórcach reklam!

Większość obrazów historycznych i zdjęć z przeszłości widzimy jednak, poza specjalistami, raz, może kilka razy w życiu. Co innego

eprasa.pl 2b805fee98

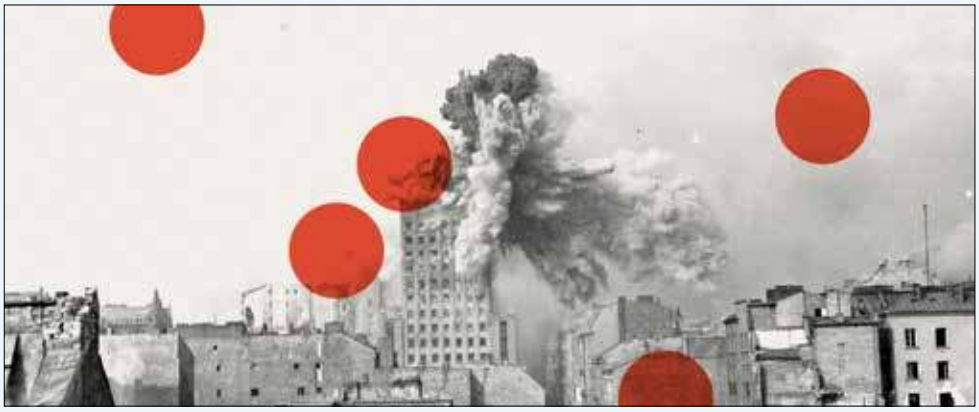

płaskorzeźby, płótna i kadry, które są szczególnie ważne, które zyskały status – kradnąc trochę ten termin szczególnego rodzaju wizerunkom świętych, powstającym w kręgu wyznawców prawosławia – „ikony". „Ikoniczne" jest zatem zdjęcie Drzwi Gnieźnieńskich, scena z Lechem Wałęsą na bramie Stoczni Gdańskiej 31 sierpnia, kadr z Dallas w chwilę po zamachu na prezydenta Kennedy'ego i „Dama z łasiczką" (choć tak naprawdę, jak wiadomo – z gronostajem!). Te wyobrażenia znamy wszyscy, często mogą posłużyć za skrót myślowy, często stają się podłożem dla rysunków satyrycznych lub memów (iluż polityków i artystów widziałem już przez te lata przyczajonych na lewym przedramieniu Cecylii Gallerani, w miejscu zarezerwowanym zwykle dla gronostaja!). Często – jak pokazała nam boleśnie inauguracja tegorocznych igrzysk olimpijskich – stają się przedmiotem żonglerki, pastiszu lub po prostu przedrzeźniania: tak, fresk Leonarda da Vinci też stanowi taką „ikonę", którą chętnie zagra każdy, od twórcy kreskówki „The Simpsons" po lubiącego nagość reżysera...

Oczywiście, poza ikonami rangi światowej – Kennedy, da Vinci, scena z „Ojca Chrzestnego" czy „Bravehearta" – są obrazy najlepiej odczytywane w kręgu danej kultury. W Polsce to, jeśli idzie o obrazy, przede wszystkim (na dobre i na złe) Jan Matejko: jeśli kojarzymy rysy twarzy Bony Sforzy i Zygmunta Starego, uniesione dłonie Skargi i rozpacz Rejtana, to przecież za sprawą jego płócien. Nie ma się zresztą czego wstydzić: Jacek Kaczmarski też szedł tym tropem...

Poza Matejką jednak, poza, mówiąc serio, Wojciechem Kossakiem i Jackiem Malczewskim jeszcze, plakacistami i Arturem Grottgerem, drzwi do historii otwierają nam fotografie – z natury rzeczy, z natury technologii, tylko od ostatnich niecałych dwóch wieków. Podczas bitwy w Olszynce Grochowskiej nie było (a szkoda!) żadnego dagerotypisty, musimy się posiłkować szkicami ołówkowymi i wyobraźnią Wojciecha Kossaka, który miał szanse rozmawiać z weteranami i słuchać ich relacji. Ale fotograf był już przy pogrzebie „pięciu poległych", na chwilę przed wybuchem Powstania Styczniowego, i odtąd są już z nami te kadry, coraz mniej ziarniste i szare, zdradzające coraz więcej szczegółów: zesłańcy na Syberii i rewolucja 1905 roku, Legiony i zamach na Gabriela Narutowicza, wrzesień 1939 roku, poznański Czerwiec, stan wojenny i wybory '89...

I Powstanie Warszawskie, naturalnie. Tych kilkadziesiąt zdjęć tasowanych najczęściej jak karty w pasjansach Piłsudskiego, który patrzył na Polskę między żarnami ze Wschodu i z Zachodu: grupa wychodząca z kanału, powstańczy ślub, mogiła, „Kubuś", płonący budynek. Fotografowało kilkaset osób, do historii przeszło kilkanaście nazwisk. Eugeniusz Lokajski (tak, to ten dryblas w zdobycznym niemieckim hełmie, tulący z szelmowskim uśmiechem czarnego kota), który zginął pod gruzami we wrześniu '44. Stefan Bałuk (tak, patrol „Agatona" idący w pierwszej godzinie Powstania, w krótkim sierpniowym deszczu, przez obwieszone flagami Śródmieście). Ewa Faryaszewska (łączniczka batalionu „Wigry", jako jedna z nielicznych robiąca zdjęcia na barwnym filmie; podobnie jak Lokajski, nie dożyła wywołania swoich kadrów); i wreszcie on, Sylwester Braun, ps. „Kris". Inżynier geodeta, prywatnie zafascynowany fotografią, podczas okupacji dorabiający robieniem zdjęć portretowych, od pierwszego sierpnia 1944, trochę za sprawą konspiracyjnej znajomości z płk. Tadeuszem Żenczykowskim, szefem Biura Propagandy i Informacji AK – poruszający się ze „specprzepustką" po całej kontrolowanej przez siły polskie części Warszawy.

Muzeum Warszawy na otwartej w przeddzień rocznicy wybuchu Powstania wystawie nie tylko opowiada historię Brauna, ukrytych w piwnicy i cudem ocalonych negatywów, ich przemycenia na Zachód, zaginięcia części z nich i „powrotu" tych zdjęć do Warszawy i do wspólnej pamięci (niektórych po Październiku '56, niektórych dopiero w 1981 roku). Kurator i badacz dorobku „Krisa" Piotr Głogowski zdołał z pociętych negatywów i traktowanych jako osobne kadrów odtworzyć – to zadanie fascynujące jak rozwiązywanie szyfru – kolejność, w jakiej Braun robił powstańcze zdjęcia, trasę jego wędrówek.

Co więcej, Muzeum Warszawy wierne swoim ambicjom „emancypacyjnym" (które obserwujemy na poły z rozbawieniem, na poły z uznaniem) przypomniało i opowiedziało niemal nieznaną historię asystentki Brauna, jego ówczesnej towarzyszki życia i współautorki części fotogramów: panny Berty Weissberger, urodzonej w Zabrzu, od 1938 roku, po wygnaniu części żydowskich imigrantów z Niemiec żyjącej w Polsce, przez większość okupacji żyjącej „na aryjskich papierach".

eprasa.pl 2b805fee98

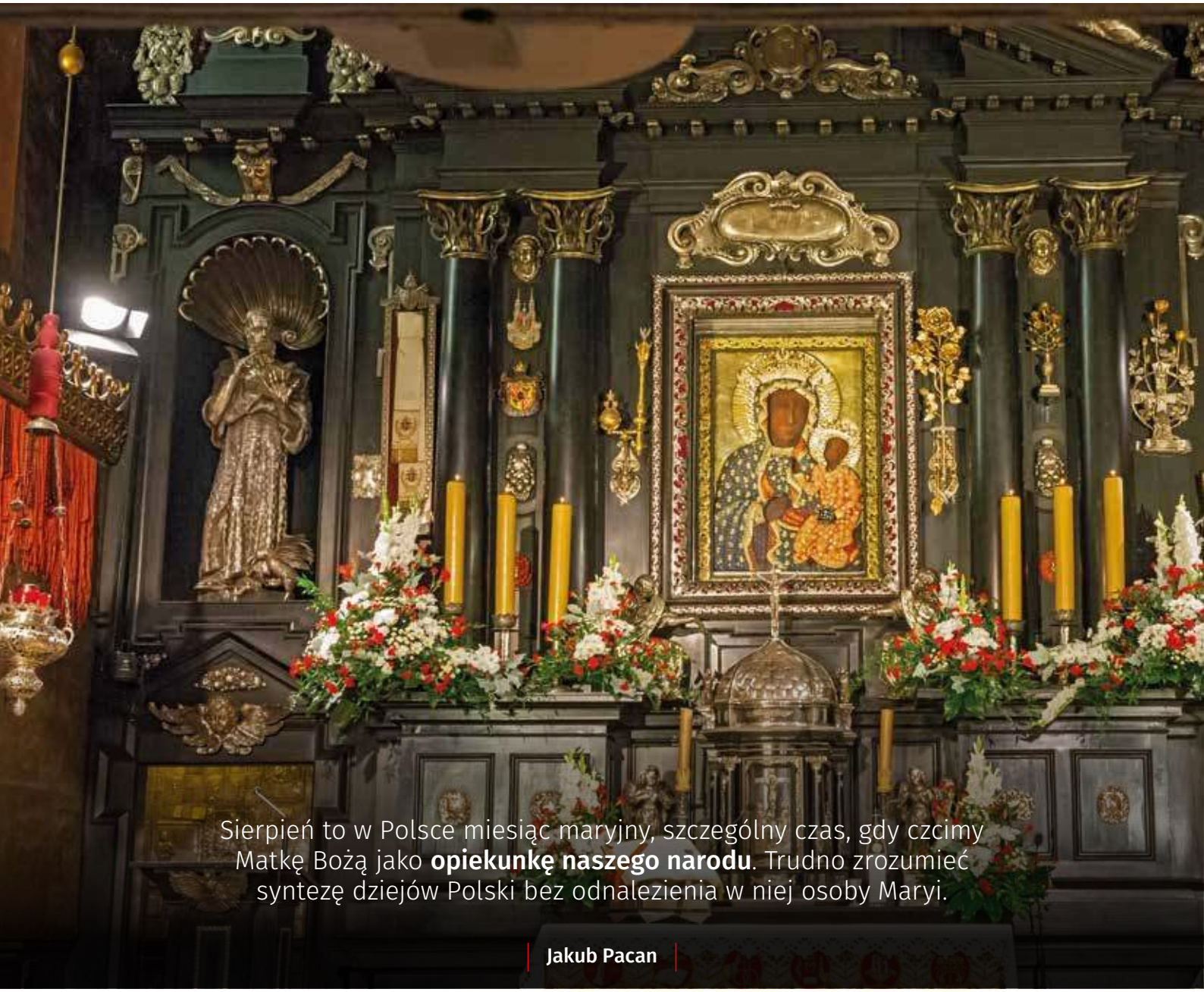

Sierpień to w Polsce miesiąc maryjny, szczególny czas, gdy czcimy Matkę Bożą jako **opiekunkę naszego narodu**. Trudno zrozumieć syntezę dziejów Polski bez odnalezienia w niej osoby Maryi.

Jakub Pacan

JEJ miesiąc

eprasa.pl 2b805fee98

Fot. Adobe Stock

Same tytuły nadawane Maryi przez Polaków na przestrzeni wieków oddają Jej pozycję w naszym narodzie i wskazują ścisły związek z trudnymi zakrętami naszej historii. „Pani", „Hetmanka", „Królowa", „Matka", „Królowa Polski".

Niezwykłe objawienie

W najtrudniejszych chwilach dziejowych, gdy ważyły się losy polskiej państwowości, ostatnim desperackim aktem rozpaczy naród poprzez swoich przedstawicieli dokonywał aktu zawierzenia Matce Bożej. I nigdy takie zawierzenie nie pozostawało bez konsekwencji. Matka Boża przychodziła ze swoją pomocą.

I nie ma się co dziwić, sama Maryja 14 sierpnia 1608 roku nakazała w objawieniu 71-letniemu jezuicie o. Giuliowi Mancinellemu, by nazywać ją Królową Polski. Działo się to w Neapolu, gdy zakonnik pytał, jaki tytuł chciałaby jeszcze mieć w Litanii Loretańskiej.

Kościół potwierdził prawdziwość objawień o. Mancinellego. Jezuita, chcąc poznać to królestwo Maryi, wybrał się w pieszą pielgrzymkę do Polski i 8 maja 1610 roku przybył do Krakowa. Jego czyn był sensacją; witał go król Zygmunt III Waza, biskupi i rzesze krakowian. Podczas Mszy Świętej w katedrze wawelskiej zakonnik miał kolejne objawienie. Maryja znowu mu się ukazała i powiedziała: „Ja jestem Królową Polski. Jestem Matką tego narodu, który jest mi bardzo drogi, wstawiaj się więc do mnie za nim, o pomyślność tej ziemi błagaj nieustannie, a ja ci będę zawsze, tak jak teraz, miłosierną". Kolejne objawienie, w którym Maryja potwierdziła swoje królowanie nad Polską, wydarzyło się 15 sierpnia 1617 roku. To data ważna, ponieważ 15 sierpnia 1920 roku odbył się Cud nad Wisłą, gdy wojska Polskie rozgromiły bolszewików.

Historia włoskiego jezuity i wrażenie, jakie wywarł na Polakach, jest o tyle ważne, że ponad czterdzieści lat później w zupełnie dramatycznych okolicznościach król Jan Kazimierz złożył śluby w lwowskiej katedrze Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny 1 kwietnia 1656 roku przed obrazem Matki Bożej Łaskawej. Były one właściwie aktem ostatecznej rozpaczy. Jesienią 1655 roku prawie cała Rzeczpospolita była zajęta przez Szwedów i po części przez Rosjan, broniła się tylko Jasna Góra. Król z garstką szlachty przebywał w Prudniku na Śląsku Opolskim. Napisał stamtąd list do papieża z prośbą o pomoc. Papiestwo przeżywało wtedy swoje problemy i ojciec święty odpisał: „Dlaczego zwracasz się o pomoc do mnie, a nie zwracasz się do Tej, która sama chciała być Waszą Królową?".

W NAJTRUDNIEJSZYCH CHWILACH DZIEJOWYCH NARÓD POLSKI POPRZEZ SWOICH PRZEDSTAWICIELI DOKONYWAŁ AKTU ZAWIERZENIA MATCE BOŻEJ.

Po liście papieża król powziął postanowienie, że jeśli znajdzie się choć kawałek wolnej Polski, on tam przybędzie i ogłosi publicznie, że Matka Boża jest Królową Polski. W marcu 1656 roku Szwedzi opuścili Lwów. Jan Kazimierz udał się do miasta złożyć śluby. Od tamtego momentu wojska szwedzkie zaczęły ponosić coraz więcej klęsk. Treść ślubów napisał Andrzej Bobola. Król zobowiązywał się w nich, że sytuacja włościan i mieszczan ulegnie poprawie, gdy tylko Polska uzyska niepodległość, nazwał on też Maryję Królową Korony Polskiej.

Zawierzenie króla

Dzięki tym wydarzeniom kult Maryi jako hetmanki narodu polskiego

eprasa.pl 2b805fee98

i polskich wojsk stawał się w Rzeczpospolitej coraz głośniejszy. 27 lat później król Jan III Sobieski w bitwie pod Wiedniem, kiedy wojska polskie wygrały z armią Kara Mustafy, dosłownie szturmował niebo modlitwami w intencji wygrania nad wojskami islamskimi. Nie jest to wiedza popularna, ale Sobieski namawiał swoich żołnierzy, by co dzień modlili się na różańcu, wielu z nich należało do bractw maryjnych, a wszyscy najbliżsi oficerowie króla byli członkami stowarzyszeń katolickich. Samemu królowi towarzyszył Stanisław Papczyński, dziś już święty, pierwszy założyciel męskiego zakonu w Polsce – Zgromadzenia Księży Marianów Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, który przed bitwą prawie wcale nie spał, ponieważ cały czas się modlił o zwycięstwo wojsk chrześcijańskich. Sam król po odparciu wojsk wielkiego wezyra powiedział: „Przybyłem, zobaczyłem, Bóg zwyciężył!".

W końcu dochodzimy do miesiąca Maryi, sierpnia, i jeszcze jednego cudu wygranej wojny, gdzie mające przewagę liczebną wojska nieprzyjaciela przegrały z armią polską. Tak samo jak kilka wieków wcześniej król Jan Kazimierz modlił się we Lwowie przed obrazem Matki Bożej Łaskawej o ratunek dla Polski, tak w dniach 13–15 sierpnia 1920 roku rzesze mieszkańców stolicy modliły się dzień i noc do Matki Bożej Łaskawej o zwycięstwo nad zagrożeniem ze Wschodu. Od Starówki, gdzie u jezuitów był obraz Matki Bożej Łaskawej, aż do kościoła Świętego Krzyża nieprzebrany tłum wiernych modlił się dzień i noc, wzywając pomocy Matki Bożej. Od 6 do 15 sierpnia decyzją kard. Aleksandra Kakowskiego w Warszawie trwała nieustanna nowenna w intencji zwycięstwa nad ateistycznym terrorem bolszewickim. Znajdujące się wtedy również w stolicy zachowane od zepsucia ciało św. Andrzeja Boboli, patrona Polski, było nieustannie adorowane przez warszawiaków. Jego relikwie zostały wyniesione i poprowadzone w procesji na plac Zamkowy.

Kolejny raz polska armia odniosła zwycięstwo, prosząc o interwencję Matkę Bożą na przedpolach Warszawy, kiedy to kilkukrotnie mniejsze wojsko polskie wygrało z armią bolszewicką.

Wojska bolszewickie mimo oczywistej przewagi przegrały. Bitwa Warszawska była według historyków osiemnastą najważniejszą bitwą świata. Naoczni świadkowie i złapani w niewolę czerwonoarmiści twierdzili, że w czasie bitwy wojskom sowieckim miała się ukazywać Matka Boża Łaskawa, „gospodina", która budziła w nich śmiertelne przerażenie. W czasach PRL i programowego ateizmu mało kto poruszał tę kwestię, niemniej są historycy, którzy traktują to zagadnienie poważnie.

I znowu w okresie zniewolenia ateistycznym systemem komunistycznym kardynał Stefan Wyszyński, będąc uwięziony w Prudniku na Śląsku Opolskim w 1955 roku, a więc dokładnie 300 lat po tym, gdy przebywał tam król Jan Kazimierz, postanowił odnowić śluby narodu polskiego wobec dramatycznej sytuacji kościoła katolickiego w Polsce, któremu groziło unicestwienie przez komunistów. W trzechsetlecie ślubów Jana Kazimierza Stefan Wyszyński – przez wielu nazywany faktycznym interrexem – złożył ślubowanie Matce Bożej Królowej Polski w miejscu odosobnienia w Komańczy, a w jego imieniu na Jasnej Górze zrobił to bp Michał Klepacz w obecności około miliona wiernych.

KOLEJNY RAZ POLSKA ARMIA ODNIOSŁA ZWYCIĘSTWO, PROSZĄC O INTERWENCJĘ MATKĘ BOŻĄ NA PRZEDPOLACH WARSZAWY, KIEDY TO KILKUKROTNIE MNIEJSZE WOJSKO POLSKIE WYGRAŁO Z ARMIĄ BOLSZEWICKĄ.

Generał z różańcem

Po okresie PRL i Ludowego Wojska Polskiego w naszej pamięci zbiorowej nie ma świadomości silnych więzów maryjności z naszą państwowością i opieką nad krajem. Nie zawsze tak było, w minionych epokach wielu królów, generałów, dowódców odwoływało się do Matki Bożej, należało do różnych stowarzyszeń maryjnych, bractw katolickich, propagowało wśród swoich żołnierzy modlitwę różańcową, ryngrafy, szkaplerze i inne sakramentalia. Ich praktyki maryjne nie były tylko ich prywatna sprawą. To Zjednoczenie z Matką Bożą dawało im siłę i dzielność do walki.

„Wszystko postawiłem na Maryję" – mówił Prymas Tysiąclecia Stefan Wyszyński. Maryja była w herbie papieskim Jana Pawła II. Pierwszym polskim utworem literackim była „Bogurodzica", która rozbrzmiewała pod Grunwaldem. Nie ma chyba lepszej syntezy naszych dziejów niż osoba Matki Bożej.

eprasa.pl 2b805fee98

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Tadeusz Płużański

Dla komuny spiskowcy

7 sierpnia 1952 r. na terenie więzienia mokotowskiego przy ul. Rakowieckiej w Warszawie kat zamordował sześciu oficerów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, oskarżonych przez władze komunistyczne o „udział w spisku mającym na celu obalenie siłą władz państwa i szpiegostwo". Od strzału w tył głowy zginęli: płk Bernard Adamecki, płk August Menczak, płk Józef Jungraw, ppłk Władysław Minakowski, ppłk Szczepan Ścibior i ppłk Stanisław Michowski.

Tę jedną z głośniejszych spraw komunistycznej Polski nadzorowała prokurator Helena Wolińska, razem ze swoim ówczesnym partnerem – konkubentem Franciszkiem Jóźwiakiem. Po wydanych przez nią i jej kolegów nakazach aresztowania oskarżonych brali w obroty śledczy. We wniosku ekstradycyjnym – który, jak wiemy, został przez Wielką Brytanię odrzucony – prokuratura wojskowa zarzuciła Wolińskiej bezprawne aresztowanie płk. Bernarda Adameckiego.

Wolińska aresztowała go 21 listopada 1950 r., tego samego dnia, co gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila". Codziennie takich spraw miała kilka. Natłok zbrodniczej pracy nie pozwalał na zapoznanie się z dowodami winy. Ale i tak nie miało to żadnego znaczenia, gdyż klasowego wroga trzeba było zniszczyć.

W listopadzie 2019 r. na terenie Lotniczej Akademii Wojskowej w Dęblinie udało się pochować gen. Szczepana Ścibiora, rektora – komendanta Akademii w latach 1947–1951. Jego szczątki odnaleziono w 2017 r. na „Łączce" Powązek Wojskowych.

Szczepan Ścibior – lotnik 305. Dywizjonu Bombowego Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii, kawaler Orderu Virtuti Militari, po wojnie powrócił do kraju i odbudował „Szkołę Orląt". W nagrodę został uwięziony i poddany torturom. W 2011 r. Temida III RP dopadła dwóch jego prześladowców – stalinowskich śledczych od „spisku w wojsku". Wojskowy Sąd Garnizonowy w Warszawie – z oskarżenia IPN – uznał, że Zbigniew Krauze i Józef Kulak są winni znęcania się nad aresztowanymi oficerami WP, w tym Szczepanem Ścibiorem. Sąd podkreślił, że obaj stosowali „wyniszczającą metodę śledztwa, która niewinnych ludzi przymuszała do przyznawania się do czynów, za które skazano ich potem na śmierć". A „metoda śledcza, za której pomocą niszczy się człowieka, nie ma prawnego usprawiedliwienia". Wyjaśnienia Krauzego i Kulaka, że ich praca nie była uciążliwa dla przesłuchiwanych, sąd uznał za „zupełnie niewiarygodne" i „bardzo wątpliwe moralnie".

Podkreślił, że bezzasadnie stawiają się w roli ofiar. Wyrok jednego roku więzienia (dla Krauzego) oraz jednego roku i 10 miesięcy (dla Kulaka) sędziowie uzasadnili tym, że kiedyś – w momencie popełniania czynów – byli „młodzi i bez doświadczenia", a dziś – są już starzy. Dlatego oprawcy do więzienia nie trafili. Ale przecież mogli zostać skazani zaraz po 1989 r.

Temida III RP w ogóle nie dopadła natomiast Zbigniewa Dominy, który 7 sierpnia 1952 r. nakazał egzekucję Szczepana Ścibiora i pięciu innych polskich oficerów. Krwawy prokurator, późniejszy literat i autor „Syberiady polskiej", zmarł w czerwcu 2019 r.

eprasa.pl 2b805fee98

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

BARBARA MICHAŁOWSKA

Pracownicy PKP Cargo PROTESTUJĄ

Przed zakładami PKP Cargo w kilku miastach protestowali pod koniec lipca pracownicy tej spółki, którzy nie zgadzają się z polityką prowadzoną przez jej zarząd.

25 lipca przed siedzibą PKP Cargo Południowy Zakład Spółki w Katowicach odbyła się pikieta przeciwko zwolnieniom grupowym zapowiedzianym przez pracodawcę. Tylko w katowickim zakładzie spółki pracę ma stracić blisko 790 osób.

W ocenie protestujących pracowników zarząd spółki nie podjął próby wypracowania jakichkolwiek innych rozwiązań w drodze dialogu ze stroną społeczną. – Jak można mówić o dialogu, skoro nie został przedstawiony żaden program naprawczy. Od razu stwierdzono, że albo nieświadczenie pracy, albo zwolnienia grupowe – powiedział w trakcie pikiety Stanisław Hrustek, przewodniczący Regionalnej Sekcji Kolejarzy NSZZ „Solidarność”.

Dzień później przed Dworcem Głównym PKP we Wrocławiu odbyła się akcja protestacyjna Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” PKP CARGO S.A. z Dolnośląskiego Zakładu Spółki. Akcję wsparł Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk.

Petycję w obronie pracowników dyrektorowi Zakładu PKP Cargo złożyli szefowie organizacji zakładowej wraz z wiceprzewodniczącym Regionu Piotrem Majchrzakiem, Barbarą Miszczuk, członkiem Prezydium ZR, i Wiesławem Natankiem, członkiem ZR.

Podobny protest odbył się tego samego dnia w Tarnowskich Górach.

30 lipca z kolei protestowali pracownicy PKP Cargo z Poznania.

Fot. NSZZ „S” Region Wielkopolska (2)

– W tym momencie nie ma żadnej ochrony, ani związkowej, ani emerytalnej. Będzie można zwolnić matki z dzieckiem. A co ma zrobić pracownik, który ma 64 lata. Dokąd on teraz pójdzie do pracy? – mówił podczas demonstracji przewodniczący Komisji Międzyzakładowej NSZZ „Solidarność” w Zachodnim Zakładzie PKP CARGO w Poznaniu Mieczysław Cykman.

Przypomnijmy, 24 lipca Zarząd PKP Cargo SA poinformował w komunikacie, że podjął decyzję o przeprowadzeniu zwolnień grupowych przez Zakłady i Centralę PKP Cargo SA. „Zwolnieniami grupowymi zostanie objętych do 30% zatrudnionych w Spółce (do 4142 pracowników) w różnych grupach zawodowych” – napisano w komunikacie prasowym.

Wcześniej, 27 czerwca, do Krajowego Rejestru Zadłużonych złożono wniosek o otwarcie postępowania sanacyjnego wobec PKP Cargo Spółka Akcyjna. Takie postępowanie już zostało otwarte.

eprasa.pl 2b805fee98

Fot. M. Żegliński

„Uważam, że uderzenie w symbole drogie chrześcijanom, a takim symbolem jest Ostatnia Wieczerza, podczas której Jezus ustanowił Eucharystię, jest wyrazem głębokiego tchórzostwa dokonujących go barbarzyńców”.

Piotr Duda, Oświadczenie przewodniczącego KK NSZZ „S” ws. antychrześcijańskiego skandalu w Paryżu, 27.07 br.

SOLIDARNOŚĆ W POŁUDNIOWYM KONCERNIE WĘGLOWYM APELUJE DO ZARZĄDU

W związku z zapowiadanymi możliwymi zmianami w umowie społecznej do zarządu swojej spółki zaapelowała także Zakładowa Organizacja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” Południowy Koncern Węglowy S.A. Wniosła do zarządu o jak najszybsze spotkanie. Tematy, które zdaniem związkowców budzą niepokój co do dalszego funkcjonowania Południowego Koncernu Węglowego S.A., to m.in. spadek wydobycia i drastyczny spadek sprzedaży węgla, a co za tym idzie – spadek strony przychodowej.

To powoduje – jak napisali związkowcy – „konieczność korzystania z dużo wyższych subwencji. Niesie to zagrożenie niedochowania parametrów wynikających z zapisów umowy społecznej, a w konsekwencji skutkować będzie wprowadzeniem planów naprawczych i w drastycznym stopniu obniżeniem wynagrodzeń”.

SOLIDARNOŚĆ INTERWENIUJE W SPRAWIE UMOWY SPOŁECZNEJ WS. TRANSFORMACJI GÓRNICTWA

Przewodniczący Śląsko-Dąbrowskiej Solidarności Dominik Kolorz i szef górniczej „S” Bogusław Hutek domagają się pilnego spotkania sygnatariuszy umowy społecznej w sprawie transformacji górnictwa i województwa śląskiego. Skierowali w tej sprawie wystąpienie do premiera Donalda Tuska, szefów ministerstw Przemysłu oraz Aktywów Państwowych, a także Klimatu i Środowiska.

„Chcemy jasnych deklaracji, czy umowa społeczna dotycząca transformacji sektora górnictwa węgla kamiennego oraz wybranych procesów transformacji województwa śląskiego zostanie zrealizowana w wersji podpisanej 28 maja 2021 roku. Za szczególnie istotne uważamy utrzymanie zapisanych tam dat wygaszania kopalń oraz powstanie przewidzianych inwestycji, dzięki którym zakłady górnicze będą mogły funkcjonować do momentu planowanego wygaszenia” – czytamy w wystąpieniu związkowych liderów do reprezentantów rządu.

„Kolejną kwestią wymagającą pilnej interwencji strony rządowej jest brak jakichkolwiek działań w zakresie inwestycji zapisanych w załączniku nr 2 umowy społecznej. Wdrożenie tych inwestycji jest warunkiem koniecznym dla realizacji umowy” – podkreślili związkowcy.

Dominik Kolorz i Bogusław Hutek wyrazili obawę, że w związku z pogarszającą się kondycją górnictwa węgla kamiennego oraz działaniami rządu wkrótce może dojść do przyspieszonej likwidacji polskich kopalń.

ZAMYKA SIĘ GENERATOR PRODUKCJA OPOLE. 180 OSÓB STRACI PRACĘ

Kolejny zakład na Opolszczyźnie do likwidacji. W ubiegłym tygodniu związkowcy NSZZ „Solidarność” w Generator Produkcja Opole sp. z o.o. zostali poinformowani, że 31 października nastąpi zakończenie produkcji w opolskim zakładzie. – Jako powód wskazano ekonomię, cała produkcja zostanie przeniesiona do Niemiec – powiedział Marek Szafosz, przewodniczący OZ NSZZ „Solidarność” w Generator Produkcja Opole sp. z o.o.

W rozmowie z Radiem Opole przewodniczący dodał, że pracę ma stracić 180 osób. Powiedział także: – Otrzymaliśmy propozycję, że można przejść do zakładu w Magdeburgu na warunkach niemieckich i tutaj pracodawca będzie pomagał właśnie w załatwieniu wszystkich niezbędnych formalności, żeby tam przejść, oraz w znalezieniu mieszkania w Niemczech. Na razie ciężko jeszcze to skomentować, bo nie znamy dokładnych warunków, jakie by to były płace.

Działająca od 2015 r. w Polsce spółka Generator Produkcja Opole (GPO) produkuje generatory do turbin wiatrowych w ramach niemieckiej Grupy Enercon GmbH, jednego z globalnych potentatów dostarczających infrastrukturę do elektrowni wiatrowych.

B.M.

Kalendarium Solidarności

7.08.1980 – na kilka miesięcy przed emeryturą z pracy w Stoczni Gdańskiej zostaje zwolniona Anna Walentynowicz;

11.08.1980 – pracownicy komunikacji miejskiej w Warszawie rozpoczynają trzydniowy strajk.

eprasa.pl 2b805fee98

I Warszawski Rajd Rowerowy „Śladami Solidarności” z odznaką PTTK

Fot. T. Gutry (3)

W piątek, **26 lipca**, odbył się I Rajd Rowerowy zorganizowany przez NSZZ „Solidarność” Region Mazowsze po miejscach związanych z ważnymi wydarzeniami dla Związku na terenie stolicy.

Jakub Pacan

Rajd zorganizowano z okazji 44. rocznicy powstania Regionu Mazowsze. To pierwszy historyczny Rajd, którego pomysłodawcą był Ireneusz Smółka z Działu Informacji i Promocji Regionu Mazowsze NSZZ „S”.

Tu się zaczęło

– W tym właśnie miejscu 44 lata temu robotnicy zbuntowali się przeciw ustrojowi komunistycznemu. Bezpośrednim impulsem protestu były drastyczne podwyżki cen, lecz ludzie mieli dosyć komunistycznego ucisku panującego od zakończenia II wojny światowej. Tutaj robotnicy przyszyli do rady pracowniczej, domagając się natychmiastowego wycofania podwyżek. Tuż obok nas są tory kolejowe. Robotnicy rozkręcili szyny i zatrzymali cały ruch pociągów do północy. Gdy się o tym dowiedzieli ludzie w innych miejscach, też zaczęli strajkować. W ten sposób zatrzymały się 32 zakłady. Na strajkujących w Ursusie komuniści wysłali helikoptery, które zrzucały na strajkujących fosforowy pył, każdy, kto był ubrudzony tym fosforem, w ciemności świecił. Każdy, kogo złapali na mieście, od razu szedł na ścieżkę zdrowia. W ten sposób natychmiast zwolnili 360 osób i w ciągu 48 godzin przeprowadzili 70 spraw sądowych. Ludzie poszli do więzień. Kilka dni

eprasa.pl 2b805fee98

później premier Piotr Jaroszewicz wycofał wszystkie podwyżki. Ale jeszcze później robiono na stadionach wiece przeciw „warchołom", tzn. strajkującym robotnikom. Ale powstał KOR. Tutaj został wprowadzony i podpisany pierwszy statut opracowany przez Jana Olszewskiego – mówił przed startem Andrzej Kierzkowski, przewodniczący Komisji Zakładowej w Ursusie.

– Sport połączony z edukacją. Niby człowiek mieszka w Warszawie, ale warto co jakiś czas odwiedzić miejsca związane z Solidarnością i zachęcać innych, by się tym zainteresowali – powiedział Adam Lendzion, pracownik IPN.

– Jesteśmy bardzo dumni z ekipy, która pokonała historyczną trasę Regionu Mazowsze. To pierwszy rajd, który chcemy cyklicznie kontynuować co roku. Jako Region Mazowsze bardzo zależy nam na upowszechnianiu wiedzy o Solidarności w Warszawie, bo to piękna karta walki o wolność, godność i lepszą Polskę. Do zobaczenia za rok – powiedział „Tygodnikowi Solidarność" szef Regionu Mazowsze Dariusz Paczuski.

– Organizujemy rajd w celu upowszechniania wiedzy o działaniach Solidarności w Warszawie. Wiele kluczowych wydarzeń z życia związku, które miały też ogromny wpływ na najnowszą historię Polski, dokonało się właśnie tutaj. Ruszyliśmy spod Pomnika Czerwca 1976 w Ursusie. Tutaj podpisano założenie Regionu Mazowsze, więc jest to dla nas bardzo symboliczne miejsce. Jechaliśmy trasą obok dawnych zakładów na Woli, następnie na Wojskowe Powązki. Tam się zatrzymaliśmy, następnie pojechaliśmy obok Huty Warszawa i tam kolega Aleksander Piwoński opowiedział historię warszawskiej „S". Następnie przez Kępę Potocką udaliśmy się do kościoła Świętego Stanisława Kostki, do bł. ks. Jerzego Popiełuszki, patrona

Solidarności. Tam Grzegorz Iwanicki opowiadał o posłudze kapelana Solidarności wśród robotników i historii Związku. Rajd liczący ponad 29 km zakończył się w siedzibie Regionie Mazowsze, gdzie uczestnicy dostali okolicznościowe odznaki PTTK – mówił w rozmowie z „Tygodnikiem Solidarność" Ireneusz Smółka.

Szlak PTTK

Dzięki współpracy Regionu Mazowsze z PTTK Rajd „Śladami Solidarności" jest szlakiem turystycznym honorowanym odpowiednią odznaką. Na uroczystości wręczenia obecny był Jan Piwnik z warszawskiego PTTK.

– Jestem bardzo zadowolony z możliwości uczestnictwa w rajdzie. Ma on dla mnie osobiste znaczenie, ponieważ moja mama jest członkiem Solidarności od 1980 roku do dzisiaj. Wiele miejsc, które odwiedziliśmy, związanych jest z jej działalnością. To dla mnie tożsamościowa wyprawa – wyznał nam uczestnik imprezy Mateusz Polak.

Impreza zakończyła się piknikiem przy grillu. Podczas wspólnego świętowania wręczono również nagrody w konkursie złożenia życzeń z okazji 44. rocznicy NSZZ „Solidarność".

eprasa.pl 2b805fee98

PRAWO

Co grozi za sprzedaż produktów z PODROBIONYMI ZNAKAMI TOWAROWYMI?

Od wielu lat sprzedaję różne towary na jednym z lokalnych rynków w Polsce. Ostatnio zauważyłem, że bardzo, zwłaszcza wśród obcokrajowców, nasiliło się zjawisko oferowania produktów z podrobionymi znakami towarowymi. Zastanawiam się, jakie mogą być konsekwencje prawne sprzedaży takich podróbek. Czy jest to legalne? Mam bowiem wrażenie, że **nikt tego nie zauważa**, jakby to było dozwolone.

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Sprzedaż produktów z podrobionymi znakami towarowymi jest w Polsce nielegalna i obarczona poważnymi konsekwencjami prawnymi oraz finansowymi. Warto być świadomym ryzyka, jakie niesie ze sobą taki proceder. Poniżej postaram się przedstawić główne aspekty prawne związane z tym zagadnieniem. Pierwsza rzecz to odpowiedzialność karna. Sprzedaż podróbek podlega regulacjom Kodeksu karnego oraz ustawy Prawo własności przemysłowej. Zgodnie z art. 305 powyższej ustawy za wprowadzanie do obrotu towarów z podrobionymi znakami towarowymi grozi kara pozbawienia wolności do 2 lat. Natomiast jeśli ktoś uczynił sobie z takiej sprzedaży stałe źródło dochodu albo dopuszcza się tego przestępstwa w stosunku do towaru o znacznej wartości, kara może wynieść nawet do 5 lat pozbawienia wolności.

Niezależnie od prawa karnego, handlując towarem podrobionym, możemy mieć do czynienia z odpowiedzialnością na gruncie prawa cywilnego. Właściciele praw do znaków towarowych mogą dochodzić swoich roszczeń właśnie na drodze cywilnej. Mogą oni żądać odszkodowania za poniesione straty, a także zwrotu korzyści uzyskanych przez sprzedawcę podróbek. Dodatkowo mogą domagać się zaprzestania naruszania ich praw oraz usunięcia skutków naruszenia, co także może być dotkliwe finansowo dla sprawcy.

Sąd może orzec przepadek na rzecz Skarbu Państwa materiałów i narzędzi, jak również środków technicznych, które służyły lub były przeznaczone do popełnienia przestępstwa, nawet gdyby nie były własnością sprawcy.

Zazwyczaj takie towary są niszczone, aby zapobiec ich dalszemu wprowadzeniu na rynek, co stanowi istotną stratę finansową dla sprzedawcy. Sprzedawca podróbek może zostać też ukarany grzywną, której wysokość zależy od wartości sprzedanych towarów oraz skali działalności. Grzywny te mogą być bardzo wysokie, co dodatkowo zwiększa ryzyko finansowe związane z taką działalnością. W sprawie sprzedaży podróbek możemy mieć też do czynienia z prawem administracyjnym. Inspekcja Handlowa oraz inne organy nadzorujące mogą wszcząć postępowania administracyjne przeciwko sprzedawcy podróbek. Takie postępowania mogą zakończyć się nałożeniem dodatkowych kar administracyjnych, co może mieć poważne konsekwencje dla dalszego prowadzenia działalności handlowej. Bycie skazanym za sprzedaż podróbek może poważnie zaszkodzić reputacji sprzedawcy. W dłuższej perspektywie może to prowadzić do utraty zaufania klientów oraz partnerów biznesowych, co jest często nieodwracalną stratą.

Drogi zaniepokojony sprzedawco, sprzedaż produktów z podrobionymi znakami towarowymi jest wysoce ryzykowna i nieopłacalna. Może prowadzić do poważnych konsekwencji prawnych, finansowych oraz reputacyjnych. Zalecam unikanie takich praktyk i skupienie się na legalnym obrocie towarami.

eprasa.pl 2b805fee98

TRZYNASTKA (wynagrodzenie)

W myśl art. 85 § 1 Kodeksu pracy wypłaty wynagrodzenia za pracę dokonuje się co najmniej raz w miesiącu, w stałym i ustalonym z góry terminie. Oznacza to, że wynagrodzenie może być wypłacane z różną częstotliwością, np. jako dniówka czy tygodniówka, ale nie może trafiać do rąk pracownika rzadziej niż raz na miesiąc.

Dr **Jakub Szmit**, specjalista z zakresu prawa pracy

POMIJAJĄC W TYM ARTYKULE KWESTIE rozróżniania wynagrodzenia zasadniczego i jego innych składników, można jedynie w nieco uproszczony sposób zauważyć, że owa ustawowo ograniczona częstotliwość dotyczy przede wszystkim tzw. wynagrodzenia zasadniczego i nie stoi na przeszkodzie wypłaty pewnych elementów wynagrodzenia rzadziej, czego przykładem mogą być premie kwartalne.

W polskiej rzeczywistości zdecydowana większość pracowników otrzymuje wynagrodzenie raz na miesiąc, częstsze wypłaty są rzadkością. Oznacza to, że w większości przypadków otrzymuje się dwanaście wynagrodzeń w ciągu roku kalendarzowego.

W odmiennej sytuacji są z mocy prawa pracownicy szeroko pojętej sfery budżetowej, którzy objęci są regulacjami ustawy z dnia 12 grudnia 1997 r. o dodatkowym wynagrodzeniu rocznym dla pracowników jednostek sfery budżetowej (t.j. Dz.U. z 2023 r., poz. 1690). Wynagrodzenie to określa się potocznie jako „trzynastka" właśnie ze względu na to, że przysługuje ono jako dodatkowe względem dwunastu wypłacanych „standardowo".

Prawo do tego świadczenia przysługuje zarówno osobom zatrudnionym w sferze państwowej (np. w szeroko pojętej administracji), jak i samorządowej. Warto podkreślić, że o prawie do trzynastki często przesądza nie bezpośrednio przywołana ustawa, ale pragmatyki pracownicze, które wskazują, że konkretna grupa zawodowa także ma do niej prawo (tak jest np. w przypadku nauczycieli, o czym decyduje art. 48 Karty Nauczyciela).

> Z WYSOKOŚCIĄ TRZYNASTKI WIĄŻE SIĘ ŚCIŚLE SAMO NABYCIE PRAWA DO NIEJ. PRACOWNIK NABYWA JE W PEŁNEJ WYSOKOŚCI PO PRZEPRACOWANIU U DANEGO PRACODAWCY CAŁEGO ROKU KALENDARZOWEGO.

Sformułowanie o dodatkowym wynagrodzeniu ma nie tylko znaczenie opisowe, ale odnosi się wprost do wysokości i zasad jego wypłaty. W pierwszej kwestii kluczowe znaczenie ma fakt, że świadczenie to ustala się w wysokości 8,5% sumy wynagrodzenia za pracę otrzymanego przez pracownika w ciągu roku kalendarzowego, za który przysługuje to wynagrodzenie. Jest to zatem dokładnie 1/12 sumy wszystkich kwot otrzymanych za wykonaną pracę przez pracownika w ciągu roku kalendarzowego (co ważne, sumuje się także takie świadczenia, jak np. dodatki za pracę w godzinach nadliczbowych czy przyznane premie).

Z wysokością trzynastki wiąże się ściśle samo nabycie prawa do niej. Otóż co do zasady pracownik nabywa je w pełnej wysokości po przepracowaniu u danego pracodawcy całego roku kalendarzowego. Natomiast osoba, która nie przepracowała u danego pracodawcy całego roku kalendarzowego, nabywa prawo do wynagrodzenia rocznego w wysokości proporcjonalnej do okresu przepracowanego, pod warunkiem, że okres ten wynosi co najmniej 6 miesięcy – ustawa przewiduje przy tym dosyć liczne wyjątki, kiedy przepracowanie krótszego okresu niż 6 miesięcy pozwala jednak uzyskać trzynastkę (oczywiście w proporcjonalnej wysokości). Z drugiej strony, wskazane są też okoliczności, które powodują utratę prawa do tego świadczenia (np. nieusprawiedliwiona nieobecność w pracy trwająca dłużej niż dwa dni lub stawienie się do pracy lub przebywania w pracy w stanie nietrzeźwości).

Wynagrodzenie roczne wypłaca się nie później niż w ciągu pierwszych trzech miesięcy roku kalendarzowego następującego po roku, za który przysługuje to wynagrodzenie.

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 2b805fee98

SPORT

O pożytkach NIEWYGODY

Marcin Darmas

Proponuję mentalną podróż w czasie. Igrzyska w Monachium, rok 1970. Turniejowi bokserskiemu przygląda się szwedzki reporter Per Olov Enquist. Posłuchajmy jego relacji: „Pięściarze nigdy nie protestują, nawet na ułamek sekundy. Czekają spokojnie, po obu stronach arbitra, a przy ogłaszaniu werdyktu, nawet krzywdzącego, odgrywają ten sam ugrzeczniony rytuał rodem z harcerstwa: całują się po policzku, klepią po plecach, dziękują sędziom, dziękują sekundantom przeciwnika i znów się całują zanim zejdą z ringu. Podczas gdy piłka nożna, hokej na lodzie, szermierka i wszystkie inne ugrzecznione dyscypliny są po brzegi wypełnione wzruszeniem ramion, przekleństwami, rebeliami i rozróbami spo-

Fot. Adobe Stock

wodowanymi błędnymi decyzjami. Takie zachowania w ogóle nie miały miejsca w dyscyplinie, która ma opinie najbrutalniejszej: w boksie. Święci w ringu byli otoczeni świniami na trybunach. Święci bili się przez trzy rundy i po to tam właśnie byli. Niemniej ich świat wydawał się wyzbyty z brutalności. Nie uprawiali prywatnych wendet, uprawiali tylko grę w przemoc, w sposób czysty i uregulowany, a potem – było już po wszystkim.

W DOBIE ABSOLUTNEJ AFIRMACJI WŁASNEJ TOŻSAMOŚCI BOKS NIE PRZYSTAJE DO NASZYCH CZASÓW, JEST WYTARTĄ SKORUPĄ ANTYCZNEJ, GRECKIEJ WAZY.

Było o wiele trudniej analizować w uporządkowany sposób wrażenia i postępowanie świń na trybunach". Od tego reporterskiego opisu minęło ponad pięćdziesiąt lat. Boks, z jego rytuałami i wartościami, jednak niewiele się zmienił. Nadal pozostaje przestrzenią paradoksalnie wyzbytą z grubiaństwa, symbolicznej przemocy i tanich chwytów.

W dobie absolutnej afirmacji własnej tożsamości boks nie przystaje do naszych czasów, jest wytartą skorupą antycznej, greckiej wazy. Pięściarstwo zarówno jako sportowy spektakl, wizja antropologiczna i praktyka ciała stanowi elegię na dobra, jak się wydaje, bezpowrotnie utracone. Nie dziwota zatem, że wciąż wraca pomysł, aby po raz ostatni organizować na igrzyskach olimpijskich potyczki na „łożu sprawiedliwości", jak nazywał ring Jean Cocteau. Boks, obok lekkoatletyki i zapasów, jest dyscypliną klasyczną, jego początki opisywał już Homer w „Iliadzie", potyczki bokserskie podziwiano w rzymskim Koloseum, a o wielkich pojedynkach pisali najwięksi reporterzy tacy jak Norman Miller i wyżej cytowany Per Olov Enquist, eseiści, między innymi Joyce Carol Oates i Jean Prévost, oraz pisarze – Ernest Hemingway i Jack London.

Któż teraz użyje mocy literatury dla startującego na obecnych igrzyskach w Paryżu breakdance'u?

Wiele zbezczeszczeń i zatruć uczyniła pięściarstwu gazetowa

percepcja, nieuprawnione analogie i – co tu dużo kryć – kontrowersje. W boskie 90% ciosów zadawanych jest na głowę, w obszarze kulturowo „nienaruszalnym". Spójrzmy na obrazy renesansowych mistrzów przedstawiających męczeństwo Sebastiana – żadna z setek strzał wbitych w ciało świętego nie dotyka twarzy. W boksie mamy do czynienia z „odwróconą figurą świętego Sebastiana": rozcięte łuki brwiowe, spuchnięte wargi i policzki. Między rundami niezdarnie naprawia twarz pięściarza cutman...

Są również inne powody złej prasy boksu, głęboko ukryte, mówiące więcej o naszych czasach niż o samym sporcie. Pomówmy o nich.

Boks jest dyscypliną wymagającą fundamentalnego odrzucenia i poświęcenia siebie. Współczesny człowiek został boleśnie ukąszony myśleniem autoafirmacyjnym. „Bądź sobą" – krzyczą napisy na kolorowych podkoszulkach i w mediach społecznościowych. Masz prawo być otyłym, wulgarnym i przekręcać znaczenia aksjologiczne. Ale najważniejsza jest suwerenność wyborów, choćby były najgłupsze – „to są przecież twoje wybory", krzyczą kolorowe pisemka i specjaliści od kozetki. W boksie odwrotnie. Swoją tożsamość na sali treningowej należy wyszarpać, właściwie wywalczyć pięściami. Motto widniejące w gymach, czyli inaczej w salach bokserskich, pod każdą szerokością geograficzną, brzmi: „Bądź najlepszy i nie użalaj się nad sobą". Boks jest wykuwaniem siebie w samodyscyplinie – zerwaniem z własnymi słabościami i ograniczeniami. „Decydując się na uprawianie sportu, zawierasz ze swoim ciałem rodzaj nowego przymierza. Od tej chwili będzie ono do ciebie mówić o jego problemach i potrzebach, ale także będzie tobie posłusznym. Słuchaj go więc, i staraj się o nie [dbać] jak o coś dla ciebie najcenniejszego" – pisał w eseju o boksie Jean Prévost.

Ciało i umysł poddawane są w pięściarstwie praktykom ascetycznym godnym największych anachoretów. Pięściarz bierze swoją przemożną siłę z ćwiczeń mających na celu oddzielenie ciała od bólu. Obecny trener kadry olimpijskiej Grzegorz Proksa, miał ponoć w trakcie krótkiej kariery bokserskiej zbić około tony wagi. Pięściarze muszą zatem ściśle trzymać się drakońskich diet. Nierzadko przed ważeniem poprzedzającym walkę zmuszeni są stracić kilka kilogramów. Nie tylko się głodzą, ale i starają się wyeliminować nadmiar wody w organizmie. W tym celu biegają w ortalionowych kombinezonach. Następnie idą do sauny. Skaczą na skakance, wchodzą po schodach. Ponadto ból. Pięściarze przyzwyczajają organizm do silnych wstrząsów, do rozciętych łuków brwiowych, pękniętych i nadkruszonych kości. Nie chodzi im o bycie sobą – celem jest mistrzostwo, zdjęcie powłoki atawistycznego bezpieczeństwa.

Boks uznawany jest za rodzaj walki najbardziej honorowej, zasługującej na miano szlachetnej sztuki. Sport ten wymaga wysokich kwalifikacji moralnych: wytrwałości, posłuszeństwa, koncentracji. Bokser nie ma prawa przez ułamek sekundy spuścić z oka swojego przeciwnika. Regułą tego współzawodnictwa jest równość gwarantowana podziałem na kategorie wagowe oraz klasy umiejętności. Jest wreszcie w tych potyczkach gwarancja cielesnej szlachetności: przeciwnicy mogą uderzać jedynie w pewne partie ciała, wykluczając inne. Pole rażenia w boksie jest więc maksymalnie ograniczone i ma wyeliminować śmiertelne zagrożenia. Walka pięściarzy ma być pojedynkiem mięśni, ale bardziej jeszcze zmaganiem bicia serc, systemów nerwowych, energii i ducha.

PIĘŚCIARSTWO JEST DYSCYPLINĄ WYMAGAJĄCĄ FUNDAMENTALNEGO ODRZUCENIA I POŚWIĘCENIA SIEBIE. WSPÓŁCZESNY CZŁOWIEK ZOSTAŁ BOLEŚNIE UKĄSZONY MYŚLENIEM AUTOAFIRMACYJNYM.

BOKS, OBOK LEKKOATLETYKI I ZAPASÓW, JEST DYSCYPLINĄ KLASYCZNĄ, JEGO POCZĄTKI OPISYWAŁ JUŻ HOMER W „ILIADZIE", POTYCZKI BOKSERSKIE PODZIWIANO W RZYMSKIM KOLOSEUM.

eprasa.pl 2b805fee98

Pięściarska, by tak rzec, szlachetność podkreślana jest poprzez niefunkcjonalność. Znów ta cecha oddala boks od mód współczesnych narcyzów. Badający ten sport Paweł Wolski opisuje boks jako czynność skrajnie nieużyteczną. „Nie dlatego, że nie prowadzi do celu, którym – pozornie – ma być unieszkodliwienie przeciwnika, ale dlatego, że prowadzi do niego w sposób zaprzeczający optymalnej skuteczności. Boks jest w zasadzie oparty na strukturze zakazów, takich jak zakaz uderzania w najbardziej czułe miejsca (tył głowy i tym podobne) lub używania najsilniejszych lub najtwardszych części ciała (noga, kolano, łokieć, czoło) czy, co ważniejsze, uniemożliwienie chwytania – czynności, która w sensie fizjologicznym czyni człowieka figurą demiurgiczną, a więc bliską bogom. Ten system reguł należących do sfery rytuału wytłumaczalnego tylko w porządku mitycznym sprawia, że boks należy rozpatrywać w kategoriach metafizycznych, czyli jako niewytłumaczalną inaczej niż przez rytuał rozgrywkę toczącą się pomiędzy pragnieniem sakralnego absolutu a uświadomioną koniecznością profanum".

Za wszelką cenę stać na nogach, w sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem i wbrew ograniczeniom własnego organizmu.

Pięściarz czerpie swoją przemożną siłę z obawy przed wstydem. Mike Tyson po zdobyciu mistrzostwa świata w wadze ciężkiej powiedział do dziennikarzy: „Odmawiam istnienia zranieniom, odmawiam pójścia na deski, nie istnieje klęska, aby mnie pokonać, trzeba mnie zabić". To zdanie również przywodzi na myśl schedę rycerską – walczyć do końca, nie godzić się na uleganie własnym ograniczeniom.

Zwycięstwo albo hańba. Półśrodki w tej optyce nie istnieją.

DLA HEMINGWAYA BOKS STANOWIŁ ODPOWIEDŹ NA MAŁOWARTOŚCIOWE PASJE ORAZ SENTYMENTALNE ROZDARCIA CECHUJĄCE WSPÓŁCZESNOŚĆ.

SPORT TEN WYMAGA WYSOKICH KWALIFIKACJI MORALNYCH: WYTRWAŁOŚCI, POSŁUSZEŃSTWA, KONCENTRACJI. BOKSER NIE MA PRAWA PRZEZ UŁAMEK SEKUNDY SPUŚCIĆ Z OKA SWOJEGO PRZECIWNIKA.

Dla Hemingwaya boks stanowił odpowiedź na małowartościowe pasje oraz sentymentalne rozdarcia cechujące współczesność. Amerykański pisarz ostrze krytyki kieruje w stronę socjety, zafałszowanej bohemy i karykaturalnych dandysów. Bardziej niż życie na pokaz klasy próżniaczej filozofię Nowego Świata najpełniej uosabiają robotnicy z ich nieprzebranymi złożami witalności, wybuchami śmiechu i zdrowiem fizycznym. U Hemingwaya boks uczy pokory, współistnienia w koleżeństwie i zaufaniu.

Niegdysiejsza kultura indywidualizmu coraz bardziej wpada w logikę narcyzmu i co dzień wypowiada nowe wojny emancypacyjne. Doczesność nie tylko pragnie wyzwolić się z kajdan świętości – jak się okazuje, uzurpuje sobie również prawo do wyśmiewania sacrum. Właśnie w imię transgresywnej wolności. Symboliczne gesty, jak „obalanie pomników", antyrytualizmy, nie są jedynymi orężami w rękach współczesnych narcyzów. Z podobną żarliwością stosują oni drwinę; nie ma takiej idei, o której nie wypowiedzieliby się kąśliwie, czyniąc pogardliwe gesty bądź wchodząc w intertekstualne przekomarzania... Jakże aktualne są passusy filozoficzne Chantal Delsol: „Drwinę rozumiem tu w pierwotnym znaczeniu francuskiego słowa « derision » odsyłającego do łacińskiego « deridere », które znaczy « ośmieszać », ale też i po prostu « pozbawiać sensu ». Drwić to niekoniecznie wyśmiewać, by zniszczyć, ale przede wszystkim, a niekiedy wyłącznie, mieć za nic. Należy sprecyzować, że szyderstwo lub śmiech bardzo pomaga w unieważnianiu. Drwina jest profanacją sensu". Narzucać społeczeństwu lekkość to odebrać mu sens, uważa francuska myślicielka.

Warto o tym pamiętać, nie tylko w kontekście boksu...

eprasa.pl 2b805fee98

Ostatni taki medal
– polscy piłkarze w Barcelonie w 1992 roku

Jako że trwają już igrzyska olimpijskie w Paryżu, cofnijmy się do kart historii. Przypomnijmy sobie, jak 32 lata temu udało się Polsce wywalczyć ostatni dotąd olimpijski medal nie tylko w piłce nożnej, lecz także ogólnie w **grach zespołowych**.

Łukasz Bobruk

Igrzyska olimpijskie w Barcelonie w 1992 roku były szczególne z powodów politycznych. Odbyły się po przemianach ustrojowych w Europie Środkowo-Wschodniej, które spowodowały rozpad Związku Radzieckiego (choć ten wystąpił na igrzyskach jako Wspólnota Niepodległych Państw, ale bez Estonii, Łotwy i Litwy, które startowały już samodzielnie) i Jugosławii (serbscy i macedońscy sportowcy wystąpili jako Niezależni Uczestnicy Igrzysk, a debiut zanotowały Słowenia, Chorwacja oraz Bośnia i Hercegowina), a także zjednoczenie Niemiec, które startowały już jako jedna reprezentacja. Po raz ostatni mogliśmy oglądać reprezentację Czechosłowacji. Ponadto po latach apartheidu ponownie wystąpili wówczas sportowcy z Republiki Południowej Afryki.

Zmiany nastąpiły również w kwestii kwalifikacji na piłkarski turniej olimpijski oraz jego rangi. Po raz pierwszy w składach drużyn mogli być piłkarze mający nie więcej niż 23 lata. Cztery lata później w Atlancie można było mieć w reprezentacji olimpijskiej maksymalnie trzech graczy starszych wiekiem. Tym samym europejskie eliminacje do igrzysk wiodły przez poprzedzające je mistrzostwa Starego Kontynentu do lat 21. W edycji z 1992 roku Polacy przeszli jak burza grupę eliminacyjną, wygrywając wszystkie mecze z Anglią, Turcją i Irlandią. Następnie w ćwierćfinale zostali rozbici przez Danię aż 0:5 w Aalborgu, po czym w rewanżu w Zabrzu zremisowali 1:1. Wydawało się, że jest to koniec marzeń o pierwszym od 1976 roku występie Biało-Czerwonych w piłkarskich olimpijskich zmaganiach, lecz los się do nas uśmiechną. W innym ćwierćfinale Szkocja ograła 4:3 Niemców, choć w rewanżu przegrywała 1:3. Jako że Szkoci nie mają własnego komitetu olimpijskiego, a jako część składowa Wielkiej Brytanii podlegają pod ten brytyjski, ich miejsce zajęła najlepsza drużyna, która odpadła w ćwierćfinale. Po podliczeniu punktów okazało się, że są to Polacy.

Awans na igrzyska w Barcelonie okazał się wielkim sukcesem młodego 39-letniego wówczas trenera Janusza Wójcika, który namówił do współpracy znanego biznesmena i miłośnika futbolu Zbigniewa Niemczyckiego, a ten został tym samym sponsorem kadry olimpijskiej. Dzięki temu piłkarze dostawali specjalne stypendia i nie musieli narzekać na warunki przygotowań. Mówiło się, że organizacyjnie wyglądali lepiej niż pierwsza reprezentacja Polski.

Ale nie ma się co dziwić. Kibice piłkarscy w naszym kraju cierpieli na głód wielkiej piłki. Kadra narodowa od udziału na mundialu 1986 odpadała w eliminacjach kolejnych turniejów. Dlatego udział w olimpijskich zmaganiach potraktowano szczególnie. I miało to znakomite przełożenie na rezultaty. W pierwszym spotkaniu w Saragossie Polska po dwóch golach Andrzeja Juskowiaka (7. i 80. minuta) pokonała 2:0 Kuwejt. Następnie w Barcelonie zwyciężyła 3:0 uważanych za faworytów imprezy Włochów. Poza wspomnianym Juskowiakiem (5. minuta) do siatki trafiali również Ryszard Staniek (48. minuta) i Grzegorz Mielcarski (90. minuta). Potem zawodnicy Wójcika ponownie zagrali w Saragossie, tym razem ze Stanami Zjednoczonymi, z którymi zremisowali 2:2, co dało im zwycięstwo w grupie A. Na trafienie Erica Imlera w 20. minucie odpowiedział 11 minut później Marek Koźmiński, a w 40. minucie prowadziliśmy 2:1 za sprawą gola Juskowiaka. Remis uratował Amerykanom w 85. minucie Steve Snow. Spotkania fazy pucharowej Polacy grali już na „właściwym" obiekcie, czyli na Camp Nou, które jest domowym stadionem FC Barcelony. W ćwierćfinale udało się ograć 2:0 Katar, a do siatki trafiali Wojciech Kowalczyk (42. minuta) i Marcin Jałocha (74. minuta). Półfinał to już był prawdziwy popis umiejętności naszych Orłów, które rozbiły Australię aż 6:1.

KRÓLEM STRZELCÓW IGRZYSK OLIMPIJSKICH W BARCELONIE ZOSTAŁ ANDRZEJ JUSKOWIAK, KTÓRY ZDOBYŁ 7 BRAMEK.

eprasa.pl 2b805fee98

Fot. EFE / EFE / Forum

Piłka nożna, mecz finałowy Polska – Hiszpania 2:3; Letnie igrzyska olimpijskie, Barcelona, 8 sierpnia 1992 r.

Dwa gole (w 27. i 88. minucie) zdobył Kowalczyk, który już wtedy był nazywany „Królem Genui", z racji strzelenia dwóch goli silnej Sampdorii, dzięki czemu Legia awansowała do półfinału Pucharu Zdobywców Pucharów. Hat trickiem popisał się Juskowiak (43., 52. i 78. minuta), a samobója w 67. minucie wbił Shaun Murphy. Gracze z drugiego końca świata odpowiedzieli jedynie trafieniem Carla Vearta w 35. minucie.

Aż nadszedł upragniony 8 sierpnia 1992 roku. 95 tysięcy widzów – w tym spóźniony król Hiszpanii Juan Carlos – zasiadło na trybunach Camp Nou. Tuż przed przerwą wielu Polaków przed telewizorami było w euforii, gdy Kowalczyk wepchnął piłkę do bramki Jimeneza. Gospodarze nie pozostali dłużni. W 65. minucie Abelardo wyrównał, a 6 minut później Kiko dał prowadzenie zawodnikom Vicente Miery. Na szczęście w 76. minucie wyrównał Staniek. Nasza drużyna toczyła heroiczny bój, lecz w doliczonym czasie trafił Kiko i to Hiszpania w składzie z takimi gwiazdami jak Luis Enrique czy Pep Guardiola sięgnęła po złoto. Nam pozostało drugie miejsce – i tak było to sporym sukcesem, za który każdy piłkarz tamtej zgranej ekipy otrzymał w prezencie złotego poloneza caro.

Sukces ten niestety nie został do końca należycie spożytkowany. Po udanych igrzyskach padło słynne hasło „zmieniamy szyld i idziemy dalej", które oznaczało wejście hurtem „srebrnej" ekipy Wójcika do pierwszej reprezentacji. I owszem, choć jedynie Waligóra, Bajor i Koseła nigdy nie zadebiutowali w kadrze A, to ta dopiero 10 lat później awansowała na kolejną wielką imprezę, a konkretnie na mundial w Korei Południowej i Japonii. Tam z naszych bohaterów zagrali jedynie Koźmiński, Świerczewski i Wałdoch. Sam Wójcik przejął pierwszą reprezentację dopiero w 1997 roku, lecz w ciągu dwóch lat nie osiągnął z nią sukcesów. Mimo iż król strzelców barcelońskich igrzysk Juskowiak występował w takich klubach jak Sporting Lizbona, Borussia Moenchengladbach czy VfL Wolfsburg. Mimo że Łapiński z Bajorem grali z Widzewem w Lidze Mistrzów. Mimo iż Mielcarski grał przyzwoicie w FC Porto. Czegoś zawsze brakowało...

Wspomnijmy jednak, kto sięgnął po pamiętne srebro. Bramkarze: Aleksander Kłak, Arkadiusz Onyszko. Obrońcy: Marek Bajor, Marcin Jałocha, Marek Koźmiński, Tomasz Łapiński, Tomasz Wałdoch. Pomocnicy: Dariusz Adamczuk, Jerzy Brzęczek, Dariusz Gęsior, Dariusz Koseła, Ryszard Staniek, Dariusz Szubert, Piotr Świerczewski, Tomasz Wieszczycki. Napastnicy: Andrzej Juskowiak, Andrzej Kobylański, Wojciech Kowalczyk, Grzegorz Mielcarski, Mirosław Waligóra.

eprasa.pl 2b805fee98

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Tomek: – Na początku sierpnia znów wyruszyła piesza pielgrzymka na Jasną Górę. Byłem na pielgrzymce warszawskiej jakieś sześć razy.

Basia: – Chodził Pan między innymi w latach osiemdziesiątych. I właśnie z tego okresu pochodzi dzisiejsze zdjęcie.

– Zostało zrobione krótko po śmierci ks. Jerzego Popiełuszki. Widać na nim hasła odnoszące się do jego osoby i nauki.

– A jakie są Pana doświadczenia z pielgrzymek z tamtych lat?

– Któregoś roku chciałem dołączyć do pielgrzymki w okolicach Piotrkowa Trybunalskiego. Na stacji kolejowej zaczepił mnie milicjant, proponując podwózkę. Na początku się wahałem, ale w końcu skorzystałem z propozycji. Dojeżdżając do miejsca, poprosiłem: „Panowie, wysadźcie mnie ze 200, 300 metrów wcześniej”. Nie chciałem, żeby widziano, że przyjechałem z milicją.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 2b805fee98

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

Nasi autorzy

Marcin Darmas (O pożytkach..., s. 68), socjolog związany przez lata z Uniwersytetem Warszawskim, był współtwórcą koncepcji i dyrektorem kanału TVP World. Jego ostatnia książka to „Na dystans. Rozważania socjologiczne o boksie" (Wydawnictwo UW, 2019).

Barbara Michałowska („Na złe..., s. 20), dziennikarka „Tygodnika Solidarność". Specjalizuje się w sprawach związkowych. Z nami od 2009 roku.

Marek Nowak (Pustka..., s. 28), publicysta i scenarzysta. Jego najnowszy film „Intersection" będzie pokazywany na tegorocznym festiwalu w Gdyni.

Jakub Pacan (Dzika..., s. 8) dziennikarz „TySola" od 2018 roku. Pisze o polityce, religii oraz... lasach. Inicjator świetnego cyklu rozmów o kondycji polskiego konserwatyzmu po wyborach 2023 roku, który ukazywał się w numerach 8–14/2024 naszego tygodnika.

Stanisław Żaryn (Amerykańska..., s. 36), pierwsze publicystyczne kroki stawiał w „Tygodniku Solidarność". Później był zastępcą ministra koordynatora służb specjalnych i pełnomocnikiem rządu Mateusza Morawieckiego do spraw bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej RP. Obecnie jest doradcą prezydenta RP Andrzeja Dudy.

PRENUMERATA

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na cztery sposoby:

1) Bezpośrednio u wydawcy „TS" – TYSOL Sp. z o.o., 00-838 Warszawa, ul. Prosta 30, tel. 22 882 27 80, e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com numer konta: Mbank 58 1140 1065 0000 2038 9400 1001. Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;
2) w wersji elektronicznej przez: **tysol.pl**;
3) „RUCH" SA na stronie: prenumerata.ruch.com.pl;
4) Kolporter SA na stronie: kolporter.com.pl.

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- II kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- I półrocze – 195,00 zł (od nr. 1 do 26)
- III kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- II półrocze – 195,00 zł (od nr. 27 do 53)

Roczna prenumerata – 390,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 240 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na: www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 2b805fee98

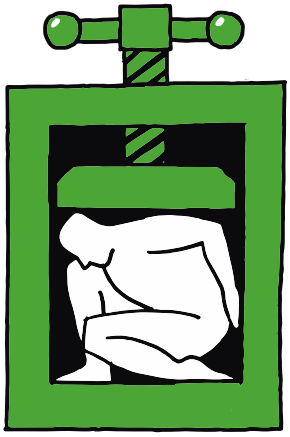

ZATRZYMAJ ZIELONY ŁAD

PODPISZ, ZANIM ZRUJNUJĄ CI ŻYCIE

www.preczzzielonymladem.pl

- Zniszczenie polskiego rolnictwa
- Drogi prąd i ciepło. Zakaz ogrzewania gazem i węglem
- Zakaz aut spalinowych. Gigantyczne opodatkowanie paliw
- Przymusowe dostosowanie budynków do „zeroemisyjności”
- Upadek lub ucieczka przemysłu. Bezrobocie
- Drożyzna w sklepach. Ogromne koszty transportu

PODPISZ WNIOSEK

O REFERENDUM OGÓLNOKRAJOWE W SPRAWIE ZIELONEGO ŁADU

NSZZ Solidarność

NSZZ RI Solidarność

eprasa.pl 2b805fee98